# Pokłon Trzech Króli




Trzej Królowie, mozaika – Sant'Apollinare Nuovo – Ravenna 2016 r., fot.
José Luiz, Wikimedia Commons

**Monika Klimowska** *(Warszawa)*

> I oddadzą mu pokłon wszyscy królowie, wszystkie narody będą mu służyły.

Hołd Trzech Króli w sztuce jest jednym z najważniejszych i najstarszych tematów ikonografii chrześcijańskiej, gdyż przedstawia epifanię Jezusa Chrystusa,  jego objawienie światu, który w osobach mędrców ze wschodu przychodzi złożyć Mu hołd. Słowa Psalmu 72 (71), 11 mówią o królach, werset wcześniej nazwanych królami Tarszisz i wysp, królami Szeby i Saby.  Zestawiane z Psalmem 72 słowa proroctwa Izajasza dodają: *I pójdą narody do swego światła, królowie do blasku twojego wschodu* (Iz 60,3). Pamiątkę tego obchodzimy w ustanowione w IV wieku święto Objawienia Pańskiego w dniu 6 stycznia. Wcześniej tego dnia świętowano Boże Narodzenie i dopiero w wieku IV je rozdzielono.

W VI-VII wieku trzej Magowie ukazywani w ikonografii w czapkach frygijskich, jako młodzieńcy, w przepasanych w pasie tunikach i płaszczach, założą korony i diademy. Odtąd już to monarchowie świata mają składać hołd Królowi królów. Kierowani wiarą i Gwiazdą Betlejemską przybywają, obok pasterzy powiadomionych przez Anioły o cudownych Narodzinach, pokłonić się Zbawicielowi. Czasem jeden z nich wskazuje na prowadząca ich Gwiazdę.

Doktrynalne znaczenie hołdu Trzech Króli w średniowieczu wyjaśniano poprzez zestawienie tego tematu z Ukrzyżowaniem, aby podkreślić najwyższy sens zbawczej misji Chrystusa. Bardzo rozległa jest ikonografia tego tematu na oprawach ksiąg

liturgicznych, dyptykach z kości słoniowej, a później w malarstwie tablicowym, także w rzeźbie i freskach i późniejszych obrazach olejnych.

## STAROŻYTNOŚĆ i WCZESNE ŚREDNIOWIECZE

W starożytności chrześcijańskiej scena miała dwa warianty. Centrum przedstawienia zajmowała tronująca Matka Boska z Dzieciątkiem, do której z obu boków zbliżali się magowie i tak temat ten ukazywano malarstwie katakumbowym, natomiast w dekoracjach sarkofagów magowie zdążali szeregiem do Matki z Dziecięciem umieszczonej już nie centralnie, a bardziej z boku. Tak widzimy ich na płaskrzeźbionym sarkofagu z IV w. przechowywanym w Muzeach Watykańskich i później na mozaice w Rawennie.



Pokłon Trzech Króli. Panel z rzymskiego sarkofagu, IV wiek n.e. z

cmentarza św. Agnieszki w Rzymie, obecnie w Museo Pio Christiano, dawne muzeum Benedykta XIV, wikipedia
Takie też ujęcie znajdziemy w sztuce karolińskiej na panelu dyptyku z kości słoniowej z ok. 800 roku wykonanym najprawdopodobniej w Akwizgranie. Przechowywany w zbiorach British Museum ukazuje od góry sceny Zwiastowania, Narodzenia i Adoracji Magów, którzy nadal noszą tu na głowach frygijki, przez co dzisiejszemu odbiorcy mogą przypominać… krasnoludki. Co ciekawe, postacie noszą ślady polichromii, czerwonej i niebieskiej na draperiach, a na postaci anioła i na jego skrzydłach – złocenia. Sztuka tego czasu kochała bowiem kolor, lśnienie barw, złota i klejnotów.



Panel z pięcioczęściowego dyptyku; kość słoniowa; prostokątny; podzielony na trzy przedziały zawierające przedstawienia Zwiastowania, Narodzenia i Pokłonu Trzech Króli; postacie są wypukłe ze śladami czerwono-niebieskiego zabarwienia na draperiach, podczas gdy figury anioła wraz ze skrzydłami noszą ślady złocenia, The British Museum

Zdaniem specjalistów przygotowujących wielką kolońską wystawę z 2014 roku poświęconą Trzem Królom w 850. rocznicę przybycia do miasta ich relikwii, szczególnie interesującą interpretację tematu od III po XVI wiek stanowią właśnie reliefy w kości słoniowej oraz iluminacje ottońskie z X i XI wieku z bibliotek w Bremie, Rzymie i Getyndze.

Symetryczne, frontalne ujecie tematu widzimy na innej plakietce z kości słoniowej ze zbiorów British Museum. Pochodzi ona z 1. poł. VI wieku z Ziemi Św., a przez lata przechowywana była w klasztorze w Tesalii (Grecja) Dla zachowania symetrii przedstawienia z boku Maryi stoi anioł z krzyżem. Na dole umieszczono mniejszą scenkę samego Narodzenia, w której Najświętsza Maria Panna odpoczywa, jak to pokazywała sztuka bizantyjska, a po niej prawosławna, a nad Dzieciątkiem w wysokim żłóbku świeci gwiazda betlejemska, a po bokach czuwają osioł z wołem, zaś przed żłobem widać kobietę z wyciągniętą ku Jezusowi ręką. To Salome z uschniętą ręką z apokryficznej ewangelii św. Jakuba. Ręka uschła jej za karę, ponieważ nie chciała uwierzyć w dziewictwo Maryi; historia ta później została powiązana z jedną z położnych.



Panel z Narodzenia i Pokłonu Trzech Króli,
Ziemia Święta, pierwsza połowa VI wieku n. e.,
z klasztoru w Tesalii, gdzie został oprawiony jako ikona, The British Museum, Wikimedia Commons

**SPORY CHRYSTOLOGICZNE I STOLICA MĄDROŚCI**

Z centralnego ujęcia hołdu wschodnich monarchów wywodzi się motyw tronującej Madonny, ukazywanej jako majestatyczna Stolica Mądrości – Sedes Sapientiae. Na takie właśnie ukazanie sceny hołdu Trzech Króli wpływ miały w V w. postanowienia soborów powszechnych w Efezie z 431 r. i w Chalcedonie w 451 r. Szło o boskość i człowieczeństwo. W ogniu zażartych sporów chrystologicznych rodził się wówczas kształt doktryny uznającej podwójną naturę Chrystusa, boską i ludzką jednocześnie. Równą co do istoty – współistotną Ojcu, jak głosi symbol nicejski, czyli Credo.

W bizantyjskich przedstawieniach po bokach Maryi tronującej niczym cesarzowa często straż trzymali Aniołowie, a ona, ukazana frontalnie, hieratycznie, prezentowała Dziecię. Wszak to Theotokos, Boża Rodzicielka, której tytuł ten przyznał trzeci sobór powszechny, zwołany w Efezie w 431 r.  Piastowane na Jej kolanach Dziecię Jezus było przecież Królem królów, Rex regum, Panem Wszechświata.

I taki wizerunek Maryi, zasiadającej na okazałym tronie i

piastującej na kolanach Dzieciątko będzie należeć obok krucyfiksu do najważniejszych wizerunków widocznych w kościołach. Wśród tego ikonograficznego typu znajdują się również słynne „czarne” Madonny z XII w., jak m.in. rzeźba z hiszpańskiego klasztoru Monserrat.



Figura Matki Bożej, Nossa Senhora de Montserrat, fot. Enrique López-Tamayo Biosca, Wikimedia Commons

Benedyktyńskie opactwo na Montserrat z figurą Madonny, uznaną za cudowną, stało się miejscem licznych pielgrzymek.

Zachodni charakter tej wspaniałej rzeźby nadal jednak nawiązuje  do konwencji bizantyjskiej z VI wieku i do rzeźby św. Fides z Conques  (983-1013) we Francji. Madonna z Montserrat piastująca Jezusa, Słowo wcielone, staje się pośredniczką między mądrością boską a ludzką. Z jej kolan nie mniej majestatyczne Dzieciątko wzniesioną w geście błogosławieństwa dłonią udziela go światu. Trzy złączone palce są aluzją do Trójcy św.,  dwa zaś zgięte ku wnętrzu dłoni oznaczają Jego podwójną naturę, bosko-ludzką. Bóg i Człowiek, Logos przedwieczny i Syn Człowieczy. W koronie na głowie i bosy.

Jego Matka trzyma w ręku kulę – ziemski glob, a Dzieciątko… sosnową szyszkę, wcale jednak niebłahy symbol. Idea pośrednictwa jest tu czytelna: *Mater Dei* miłością swoją obejmuje cały świat symbolizowany przez glob. Szyszka pinii natomiast według św. Ambrożego kieruje nasze myśli ku życiu wiecznemu. W starożytności była ona  symbolem nie tylko płodności dzięki wielkiej ilości pinioli, nasion skrytych pod łuskami, ale też symbolem łask, którymi bogowie obdarowują ludzi, orzeszki pinii są bowiem bardzo smaczne i pożywne. Mamy tutaj zatem dodatkowe wzmocnienie symboliki misji Chrystusa, który narodził się, by zbawić ludzi.

Dodajmy tu także ciekawostkę: cudowna figura znajduje się za szkłem, ale w szybie został wycięty otwór, aby można było dotknąć ziemskiego globu w ręce Madonny i wierni stoją w

kolejkach… Sława Monserrat jest tak duża, że nazwa góry stała sie imieniem, które nosiła m.in. zmarła dwa lata temu wspaniała śpiewaczka operowa Montserrat Caballe obdarzona sopranem dramatycznym stawiającym ją w jednym rzędzie z Marią Callas.

## SEN Z KAPITELU W BURGUNDII

Wiek XII był czasem wspaniałego rozkwitu sztuki romańskiej. Powstawały katedry i bogato zdobione kościoły na trasach pielgrzymkowych zewsząd wiodących do grobu św. Jakuba w Composteli. I choć rzadko ich twórcy pozostawiali swoje imiona, znamy przecież wybitnego rzeźbiarza imieniem Gislebertus. Był najlepszym rzeźbiarzem swego czasu i sam podpisał swoje dzieło: *Gislebertus hoc fecit*. Przy rzeźbiarskim wystroju katedry w Autun w Burgundii wzniesionej na wzór kościoła opackiego w słynnym Cluny III działał miedzy 1125 a 1135 rokiem.

Zawdzięczamy mu wyjątkowej urody uwiecznienie w kamieniu nie tylko leżącej Ewy, ale i snu Trzech Króli. Śnią pod jedną kołderką ciasno przytuleni do siebie na jednym z czterech narracyjnych kapiteli katedry, które zostały przeniesione do Musee Rolin obok katedry św. Łazarza.

Spod kołderki opadającej łukiem i przypominającej owalny dywan wystają ich głowy w koronach spoczywające na wspólnej poduszce, a stojący za łożem Anioł delikatnie smukłym dotyka

palcem jednego z nich, by drugą ręką wskazać mu gorejącą wyżej gwiazdę w kształcie kwiatu. Gwiazdę, która zaprowadzić ma ich do Betlejemskiej stajenki, by pokłonili się prawdziwemu Królowi królów.

Mistrzostwo Gislebertusa harmonijnie wprawiło w okrężny ruch całą scenkę zajmującą górną część kapitela. Owalowi dominującej tu kołdry odpowiadają owale twarzy, wtóruje im dolny łuk skrzydła i fałdy rękawa tuniki anioła, który psst! cichuteńko, z subtelną delikatnością budzi jednego z wędrowców poszukujących mądrości najwyższej.

Ścieśnieni w łożu, wpisani w skąpą przestrzeń kapitelu, dwaj wędrowcy śpią niemal snem kamiennym, przytuleni do siebie policzkami, zaś trzeci, budzony przez anioła, otwiera szeroko oczy, dowiaduje się, by z Betlejem wracali inną drogą, by nie zdradzić Herodowi miejsca narodzin Jezusa. I jak pisze ewangelista, *otrzymawszy we śnie nakaz, żeby nie wracali do Heroda, inną drogą udali się do swojej ojczyzny* (Mt 2,12) .

Znakomicie, z naprawdę głębokim odczuciem opisuje wymowę tego kapitelu Richard Harries w A *Gallery of Reflections. The Nativity of Christ* z 1995 r.:

> Rzeźba ta, podobnie jak historia, na której się opiera, chce

> przekazać dwie prawdy. Pierwszą, że Bóg dba o każdego z nas. Prowadząc trzech króli do dziecięcia Jezus, nie opuścił ich. Całkiem na odwrót, zostaną oni bezpiecznie odprowadzeni do domu, z dala od spisku uknutego przez Heroda. Drugą, że dbając o nas, Bóg nas prowadzi. Symbolizuje to gwiazda na niebiosach. Lecz dla nas może być to wewnętrzne światło. Ludzie w świecie starożytnym nie mieli problemu, by wierzyć, że Bóg, poprzez swoich aniołów, mówi do nas we śnie. W ciągu XX wieku na nowo odkrywaliśmy doniosłość snów ujawniających nam więcej o nas samych. A co więcj, w jaki sposób Duch św. działa poprzez nas wszystkich, poprzez naszą nieświadomość, włączając w to nasze sny. (…)  Ale Bóg kieruje nami na wiele sposobów, nie tylko poprzez sny. Tym, co tak pięknie przekazuje Gislebertus, jest delikatny dotyk anioła. Jego lot niemal nie poruszył powietrza. Nagle już jest tu, obecność pełna słodyczy i ciszy. Kierownictwo Boże rzadko jest głośne i donośne, przytłaczające. Zwykle to najlżejszy dotyk, leciutki kuksaniec, znak.

W pełni autor tych słów oddaje głębszy sens tego pomniejszego dzieła Gislebertusa. Prawdziwego mistrza rzeźby romańskiej, która po doświadczeniach awangard XX wieku stała się nam bliższa i zrozumialsza, już nie tylko naiwna.



Gislebertus, Trzech mędrców, rzeźba w katedrze św. Łazarza w Autun (Francja), fot. Wikimedia Commons

**MAGOWIE ZDEJMUJĄ FRYGIJKI I  NAKŁADAJĄ KORONY**

Ewangelia mówi o magach, jak zwano mędrców ze wschodu. Indyjskim i tym  geograficznie bliższym Judei, mogłoby pasować miano astrologów. Czytaniu z gwiazd i wróżbom żydzi byli przeciwni, Izraelitów obowiązywał nakaz trzymania się z dala od wróżbitów i astrologów. Prorok Izajasz drwił wprost:

> Niechaj się stawią, by cię ocalić, owi opisywacze nieba, którzy badają gwiazdy, przepowiadają na każdy miesiąc, co ma się tobie przydarzyć. Oto będą jak źdźbła słomiane, ogień ich spali. Nie uratują własnego życia z mocy płomieni. (…) nikt cię nie ocali. (Iz  47, 13-15)

Za to ci, którzy potrafili wyjaśniać znaczenie snów, cieszyli się wielkim poważaniem wśród żydów i pogan, jak świadczy o tym choćby słynne tłumaczenie przez Józefa snu faraona o krowach tłustych i chudych. Komunikowanie ważnych treści w snach nie należało bynajmniej do zjawisk odosobnionych. Ewangelista Mateusz pisze króciutko o snach św. Józefa, któremu najpierw anioł tą drogą nakazał przyjąć brzemienną Maryję, a później uciekać z Nią i Dziecięciem do Egiptu. Oba przekazane we śnie polecenia były przejawem opieki boskiej, podobnie jak  w przypadku Trzech Króli.

Nie wiemy jednak, czy śnili oni to samo naraz, czy z osobna. Niezależnie od tego, że genialne rozwiązanie znalazł Gislebertus, wkraczamy tu na chwile na grunt niezbyt pewny, chwiejny jak obrazy w filmie „Incepcja”. Nie wiemy na pewno ilu było magów, według różnych wczesnych tradycji mogło być ich nawet dwunastu, jak 12 plemion Izraela, by wskazać tym samym na pełnię realizacji bożego zamysłu zbawczej historii, a w malarstwie katakumbowym z pierwszych wieków przedstawiano

ich parami, po dwóch, czterech, sześciu. U Koptów zachowała się zaś tradycja mówiąca o… 60.

Wreszcie dość tych wahań, w VI wieku przyjęła się wersja mówiąca o trzech, a wywodząca się od Orygenesa. Ojciec Kościoła dał proste wyjaśnienie: Było ich trzech, bowiem trzy były dary: mirra, kadzidło i złoto. Wszystkie one były darami iście królewskimi.

W tym samym mniej więcej czasie zaczęły przyjmować się ich imiona, oznaczające w różnych językach króla. Mędrcy zdjęli frygijskie czapki i nałożyli korony, które czasem zastępowali turbanami dla podkreślenia, że przybyli z dalekich orientalnych krain. Jeden został nawet Murzynem, by w ten sposób uwidocznić, że to cały świat, wszystkie znane ówcześnie kontynenty składają hołd Panu.

Imię Kacpra wywodziło się z łacińskiego „caesar”, Melchiora – od hebrajskiego słowa „melech”, zaś Baltazar to po prostu wykoślawione miano greckiego „basileusa”. Do przemiany w królów przyczyniła się interpretacja Psalmu 72 z mesjańskim proroctwem:

> Królowie Tarszisz i wysp przyniosą dary, królowie Szeby i Saby złożą daninę. I oddadzą Mu pokłon wszyscy królowie.

> (…) Przeto będzie żył i dadzą Mu złoto z Saby  Ps 72(71),10-11.

Wymienione tu nazwy geograficzne symbolizowały  cały świat, od Tarszisz, czyli Tartessos w Hiszpanii poprzez Szebę czyli Abisynię (dziesiejszą Etiopię), aż po Sabę, królestwo na wybrzeżu Półwyspu Arabskiego.

Nawiązywano przy tym do podziału starożytnego świata między potomków Noego – Sema, Chama i Jafeta. Potomkowie Sema zamieszkiwali Azję,  Jafeta – Europę, zaś potomkowie Chama – Afrykę. Dlatego jednego z władców klękających przed przedstawiano jako Araba, trzeciego z nich jako Murzyna. Różnicowano też ich wiek, aby pokazać trzy okresy życia: młodość, dojrzałość i starość. Siwowłosy starzec był zwykle przedstawicielem Europy; mężczyzna w orientalnym stroju i średnim wieku symbolizował Azję, a najmłodszemu przypadało reprezentować Afrykę.

## O DARACH I RELIKWIACH

W ich dzień święci się w kościołach kredę (od XVIII wieku), którą wierni napiszą skrót  K+M+B i rok bieżący nad drzwiami domu, bądź mieszkania. Właściwy zapis skrótu to  C+M+B – czyli pierwsze litery łacińskiej sentencji: *Christus mansionem*

*benedicat* – (Niech) Chrystus mieszkanie błogosławi. Świeci się też tego dnia kadzidło (od XV/XVI w.) oraz złoto, którym dotykano później szyi, co miało chronić przed chorobą. Kadzidłem okadzano dom i obejście.

Cenne dary królowie wręczają na obrazach zazwyczaj w puszkach lub pucharach. Na  obrazie Andrei Mantegni datowanym na lata ok. 1495-1505 z Getty Museum mamy pierwsze przedstawienie porcelanowego naczynia w malarstwie europejskim. Łysy starzec, a więc jest to Kacper, ukazany po prawej stronie na pierwszym planie, podaje Dzieciątku cenną czarkę z delikatnej białej, zdobionej niebieskimi motywami roslinnymi porcelany, wypełniona złotymi monetami. To naczynie z czasów dynastii Ming, które musialo do Europy trafić w charakterze jednego z dyplomatycznych podarków od poselstw sułtanów, uprzednio przywiezione z Persji. Za Kacprem młodszy Melchior trzyma turecką kadzielnicę, która znalazła się nieco poniżej w centrum obrazu, tuż nad porcelanowym naczynkiem. To wielka rzadkość; nieliczne dwory mogły się takimi skarbami, jak ten, poszczycić. Czarka jest podobna do opisanej w inwentarzu Izabelli d’Este.

Również rzadkością jest sposób przedstawienia tej sceny przez Mantegnę, który ze znakomitym opanowaniem perspektywy i z matematyczną niemal precyzją kształtuje postaci. Tutaj całość kompozycji z jej bohstermi w półpostaci zamknał w bardzo

ciasnym, niemal fotograficznym kadrze. Tak ciasną przestrzeń wzorowal na kompozycjach rzymskich reliefów, które z upodobaniem studiowal w Rzymie. Uzyskał dzięki  temu w tym obrazie wrażenie, że jesteśmy obserwatorami z bliska bardzo kameralnej sceny.



Montegna Magi, Pokłon Trzech Króli, Wikimedia Commons

Hagiografia średniowieczna, której rozmaite wersje mogą przypominać dzisiejsze wojny informacyjne, utrzymywała, że relikwie Trzech Królów znajdowały się Persji, w Savah (Seuva) i że mędrcy, którzy powrócili do siebie, przyjęli chrzest z rąk

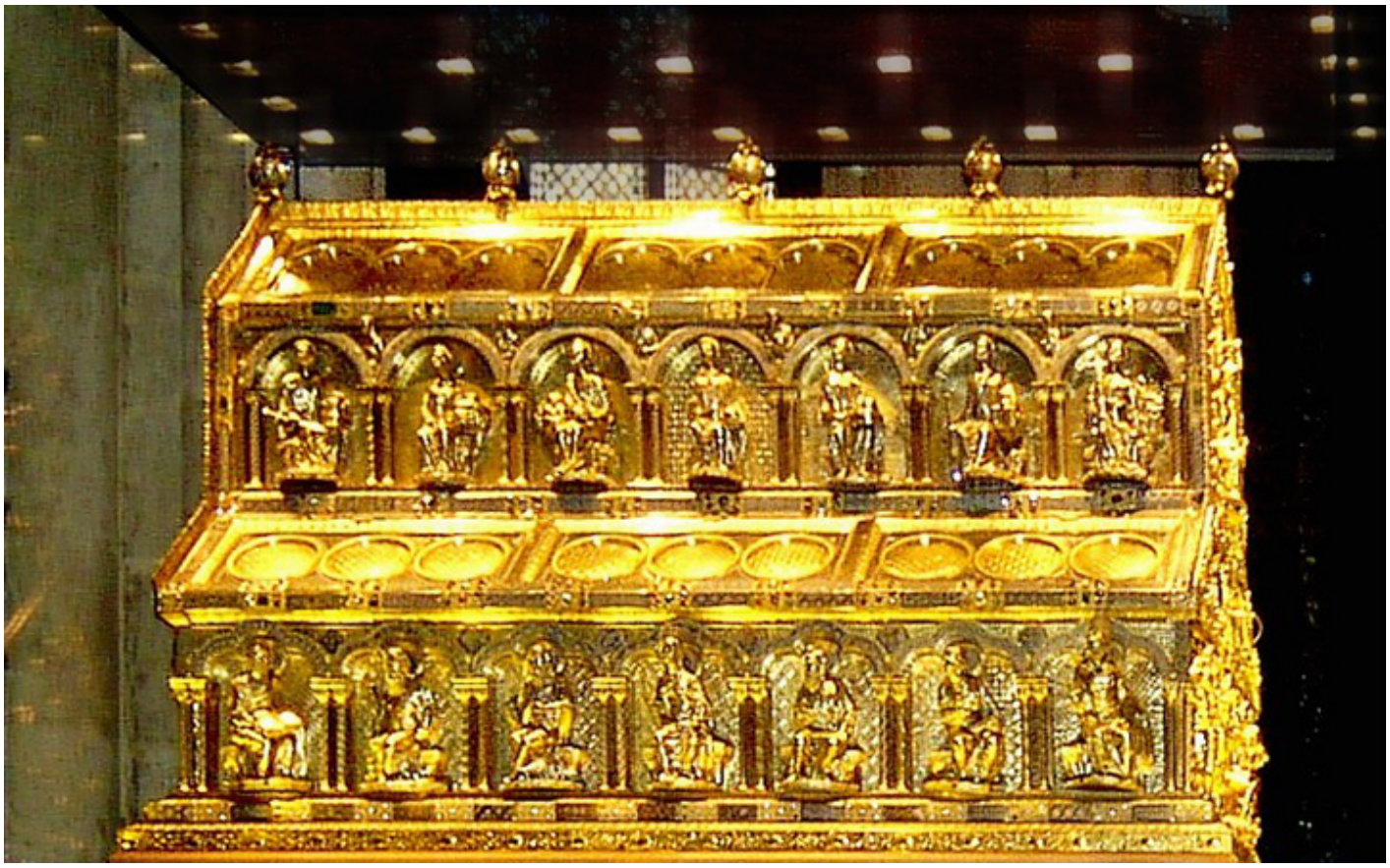
nieokreślonego Apostoła, który jakoby odwiedził miasto. Mieli nawet zostać biskupami i męczennikami za wiarę. Marco Polo, który chyba jednak lubił koloryzować, w swym „Opisaniu świata” odnotował, że

> jest w Persji miasto Savah, z którego wyszli Trzej Magowie, kiedy udali się, aby pokłon złożyć Jezusowi Chrystusowi. W mieście tym znajdują się trzy wspaniałe i potężne grobowce, w których zostali złożeni Trzej Magowie. Ciała ich są aż dotąd pięknie zachowane cało, tak że nawet można oglądać ich włosy i brody.

Natomiast legenda z wieku XII opowiada, że sześć wieków wcześniej relikwie Trzech Magów miał otrzymać od cesarza z Konstantynopola biskup Mediolanu św. Eustorgiusz. To stamtąd cesarz Fryderyk I Barbarossa zabrał je i przekazał swemu kanclerzowi, arcybiskupowi Kolonii, Rainaldowi von Dassel.

Z kolei „Historia Trzech Króli” Jana z Hildesheimu w 2. poł. XIV wieku połączyła wiadomości z Biblii, apokryfów i literatury podróżniczej, stając się bestsellerem tamtych czasów. Ale absolutna palma pierwszeństwa wśród tego typu źródeł, z których obficie korzystali artyści, często pod dyktando teologów, należała jednak do „Złotej legendy” Jakuba de Voragine.

## W KOLONII



Relikwiarz Trzech Króli z katedry w Kolonii, fot. Arminia, Wikipedia

Poza Gislebertusem z imienia znamy również lotaryńskiego złotnika i emaliera, twórcy niezwykłego relikwiarza Trzech Króli dla Kolonii, która dostała od cesarza Barbarossy ich relikwie.

Urodzony przed 1150, zmarły przed 1217 rokiem Mikołaj z Verdun często łączył złoto z emalią, swoje figurki wypracowywał często z całych bryłek srebra, a stylistycznie jego twórczość sytuuje się miedzy późnym stylem romańskim a dopiero powstającym gotykiem, w okresie, kiedy około 1200 roku odżyły wzorce bizantyńskie i zainteresowanie antykiem. Mikołaj z

Verdun przynależy do kręgu sztuki nadmozańskiej i w metaloplastyce jest jej najwybitniejszym przedstawicielem. Jego własny indywidualny styl każe widzieć w nim czołowego przedstawiciela krótkotrwałego małego protorenesansu na tych terenach.

Relikwiarz Trzech Króli z lat 1181-1225 przypominający kształtem trójnawową bazylikę jest jednym z największych i najbogatszych relikwiarzy świata, o szerokości 110 cm, wysokości 153 i długości 220 cm. W rzeczywistości tworzą go dwa sarkofagi, na których spoczywa trzeci. Pokryty ponad tysiącem szlachetnych kamieni i pereł, kolorowymi emaliami, symbolizuje Boga w Trójcy Świętej. Zdobią go ponadto 74 figury z pozłacanego srebra i ponad 300 gemm i kamei. W tym arcydziele złotnictwa zręcznie zrealizowana została teologiczna koncepcja historiozoficzna. W dolnej części sarkofagu przedstawiony został czas „sub lege" – podległości starotestamentowemu prawu, czyli proroków, królów Dawida i Salomona oraz kapłanów, jakie obowiązywało  przed męką i śmiercią Pana Jezusa, w części górnej zaś czas „sub gratia" – czas łaski, jaką przyniosło Zmartwychwstanie i na którym umieszczono figurki apostołów.

W części frontowej relikwiarza, na dole, znajdujemy Matkę Boską z Dzieciątkiem na rękach przyjmującym hołd Trzech Króli i cesarza Ottona IV. Cesarz ten ufundował korony dla Trzech

Króli, którzy stali się (obok św. Urszuli i św. Gereona z legendarnej Legii Tebańskiej) patronami Kolonii, a ich korony – herbem miasta. Obok  sceny hołdu umieszczono scenę chrztu w Jordanie i figurę Chrystusa Sędziego świata u kresu czasów pomiędzy dwoma aniołami.  Z tyłu natomiast przedstawiono Go przy kolumnie oraz na Krzyżu, a w górnej części – między Feliksem i Naborem, których relikwie dołączono do tego monumentalnego relikwiarza.

W tamtych czasach relikwie były na wagę co najmniej złota, przewyższając kosztowne materiały samych relikwiarzy. Wysoko też windowały pozycję ich posiadacza. Kolonia w krótkim czasie stała się jednym z największych miejsc pielgrzymkowych chrześcijaństwa, ustępując jedynie samym tylko Jerozolimie, Rzymowi i Santiago de Compostela. I z uwagi na tak wielki prestiż kolońskich relikwii wypadało, aby niemieccy cesarze zaraz po koronacji w Akwizgranie udawali się z wizytą do Trzech Króli.

**W KOLEBCE RENESANSU**

Drugim miastem, w którym silnie zaznaczyła się pamięć o Trzech Królach była  Florencja, w ktorej w święto Objawienia Pańskiego przypadał też na dzień jej patrona, św. Jana Chrzciciela. Generalnie cały wiek XV był czasem wielkiej popularności Trzech Króli w Europie, o czym świadczy zatrzęsienie poświęconych im

obrazów i zakładane poświęcone im bractwa religijne.

Miasto nad Arnem cieszyło się wielkim prestiżem, to do niego przeniesiono w 1439 roku obrady soboru powszechnego, a jego związki z Bizancjum przyczyniły się kilkanaście lat później do żywiołowego wprost rozwoju humanizmu po upadku Konstantynopola. Powstawały w nim wspaniałe malarskie dzieła ukazujące, pod  postaciami Mędrców ze Wschodu, ważnych obywateli  republiki.

Medyceusze faktycznie władający Florencją należeli do dobroczynnego bractwa Compagnia de' Magi, które w dniu patronów urządzało co trzy lub co pięć lat bajeczne widowisko na ulicach miasta. Składały się na nie trzy procesje czy też orszaki, które schodziły się na Piazza San Marco. Symbolem konfraterni była sześcioramienna gwiazda, na pamiątkę tej betlejemskiej, toteż figurowała także jako Bractwo Gwiazdy. Medyceusze nie tylko roztaczali nad nim swą opiekę, brackie uroczystości 6 stycznia dawały im możliwość bezprzykładnego popisania się bogactwem, co przyczyniało im zwolenników i łagodziło nastroje, a co zauważył i pochwalił Niccolo Machiavelli.

Compagnia istniała już w 1390 roku, z którego zachował się opis święta zanotowany przez anomiowego kronikrza. Ale dopiero Quattrocento przyniosło spektakularne procesje, które oddziałały

na malarstwo. Florencka Compagnia wyraźnie wzmiankowana jest w dokumentach miejskich z 1417 roku, kiedy zwrócia się do Signorii z prośbą o wsparcie finansowe  urządzania  *Festa de' Magi*. Według oficjalnej retoryki *Festa* miała na celu spełnienie obowiązku wobec Boga, podniesienie prestiżu Florencji i dostarczenie ludowi rozrywki i „pociechy".

Najsłynniejsze malarskie dzieła iskrzące się wprost kolorami i dokumentujące przepych strojów powstały na zamówienie bankierów. Najwspanialsze pochody Trzech Króli namalowali Gentile da Fabriano i Benozzo Gozzoli. Poprzestanę jednak na tym tylko, bez ich opisywania, pominę też apokaliptyczne „Mistyczne Narodziny" Sandro Botticellego z aniołami wirującymi miedzy złotą kopułą niebios a stajenką.

Pokrótce za to przedstawię mniej znanego mistrza florenckiego, który nauki pobierał razem z Leonardem w warsztacie Andrei del Verrocchio. Porównywany był Lorenzo di Credi z Leonardem, a z Botticellim łączyła go fascynacja naukami Girolamo Savonaroli. Bez działalności tego dominikanina, głoszącego kazania przeciwko niemoralności i lichwie, bogactwu Kościoła i tyranii Medyceuszy, który nawoływał do pokuty i zapowiadał apokaliptyczne kary, trudno zrozumieć nastroje, jakie zapanowały we Florencji, przywykłej do stentacyjnych splendorów i orszaków. Na kilka lat Savonarola przejął władzę w mieście, a Medyceusze zostali wygnani, o paradach lepiej było

nawet nie myśleć.



Lorenzo di Credi, Pokłon Pasterzy, Museum: Uffizi, Wikimedia Commons

W chronologii wydarzeń związanych z Bożym Narodzeniem pokłon wcześniej, przed Magami, prawdziwemu władcy świata, maleńkiemu Jezusowi oddali Aniołowie. I to oni nowinę o Narodzeniu zwiastowali prostym pasterzom, a ci pospieszyli do stajenki. Malowano zwiastowania anielskie i pokłony pasterzy osobno, albo też łączono je z pokłonem Trzech Króli. W tych

często wielce rozbudowanych przedstawieniach motyw gwiazdy betlejemskiej świadczył o kosmicznym wymiarze wydarzenia. Wiele jednak było też skromniejszych.

Przyjrzyjmy się pokłonowi pasterzy Lorenza da Credi ok. 1510 roku, a znajdującym się we florenckiej  Galerii Uffizii. Malując go, Lorenzo był już dojrzałym malarzem, nadal jednak pewnie miał w pamięci Savonarolę, płomiennego „kaznodzieję zrozpaczonych", który potępiał bogaczy i obiecywał im piekło.

Mnich ten szybko po przybyciu do Florencji został przeorem dominikańskiego klasztoru San Marco. W latach kryzysu republiki okazał się zręcznym dyplomatą i przywódcą, organizującym sakralne widowiska, w organizacji których korzystał z pomocy jednego z najsłynniejszych florenckich malarzy, Botticellego. W 1497 roku młodzi zwolennicy Savonaroli chodzili od drzwi do drzwi, zbierając przedmioty zbytku, które w lutym spłoną na stosie próżności. Zorganizowany przez Savonarolę stos ma siedem pięter z przedmiotów wspomagających popełnianie siedmiu grzechów głównych. Piętrzą się zatem warstwy, począwszy od peruk i masek, następnie książek humanistów, w tym Petrarki i Boccaccia, poprzez przybory toaletowe, instrumenty muzyczne, karty do gry, dalej po obrazy i posągi, które na koniec zwieńczą karnawałowe maski oraz figura diabła z wężem. „Bruciamento" gotowe! Nie przyjęto oferty weneckiego kupca, gotowego dać 20

tys. guldenów za cały stos. Płomienie strawiły symbole próżności, zbytku i próżnych uciech. Los Savonaroli odmieni się jednak w ciągu zaledwie kilku miesięcy od tego wydarzenia, zostanie ekskomunikowany, lecz nie od razu jego zwolennicy dadzą się zastraszyć rozciągnięciem ekskomuniki na nich samych. Koniec jest straszny – najpierw tortury, potem kaźń publiczna, odzieranie z szat kapłańskich, w które go specjalnie po to ubrano, śmierć przez powieszenie i stos od „bruciamento" groźniejszy, na którym spalono ciała Savonaroli i jeszcze dwóch jego dominikańskich braci.

Jak pisał Vasari, Lorenzo di Credi należał do tych, na których Savonarola wywarł wielki wpływ. Co nie osłabiło w najmniejszym stopniu zmysłu obserwacji malarza, którego twórczość należy porównywać z największymi  – Leonardem i Rafaelem. Za jego życia od pewnego czasu sceny takie jak cykl Bożego Narodzenia nabierały charakteru scen rodzajowych i takie właśnie elementy znajdziemy w „Pokłonie pasterzy".

Późny obraz Lorenza ukazujący adorację Dzieciątka w szopie to kompozycja zawierająca o wiele więcej, niż mogłoby się wydać przy pobieżnym spojrzeniu. Młody pasterz z owieczką na rękach stoi z lewej strony obrazu; wcale nie patrzy na leżące na ziemi nagie Dzieciątko, skierował wzrok poza obraz. Kto wie, może widzi nas i dlatego spojrzenie ma jakby nieprzytome? Czy Lorenzo podejmuje tu jakąś grę z widzem? Dwaj pozostali, z

których starszy przykląkł na kolano, a drugi pochylony, zafrapowani są widokiem złożonego na ziemi Jezusa, a ich postawa wyraża w pełni zdumienie i nabożne przejęcie. Za Maryją dwa anioły wymieniają najwyraźniej jakieś uwagi, komentują coś, a na pierwszym planie po prawej stronie św. Józef wsparty oburącz na lasce z półprzymkniętymi oczyma wydaje się przysypiać na stojąco. Pozostali kontemplują Dziecię.

W tej przepięknie zrównoważonej kompozycji orkiestracja gestów rąk i spojrzeń budujących narrację psychologiczną, stwarza wrażenie sceny wyjętej z namacalnej rzeczywistości, dziania się na naszych oczach historii świętej, acz nie pozbawionej wymiaru czysto ludzkiego, lekko ludycznego, skoro anioły mogą oddawać się być może nawet plotkom. Można by spytać, czy humanizacja to, czy rodzajowość?

**W POLSCE**



Władysław Skoczylas, Szopka góralska, ok. 1910 r., akwarela

By pozostać w skromniejszym rejestrze, ale też i obserwacji obyczajowej, w czasach już nam bliskich,  przyjrzyjmy się sprzedanej w 2004 roku w domu aukcyjnym Agraart akwareli Władysława Skoczylasa.

Skoczylas, urodzony w 1883 roku w Wieliczce, znany przede wszystkim jako sztandarowy polski grafik o charakterystycznej kresce, uczeń Teodora Axentowicza i Leona Wyczółkowskiego, we wczesnym okresie twórczości w latach 1908-1918 (z przerwami) pracował jako nauczyciel rysunku w zakopiańskiej Szkole Przemysłu Drzewnego. To tam zachwycił się, jak wielu

naszych twórców, góralszczyzną. Był nawet współzałożycielem Towarzystwa Sztuka Podhalańska i warsztatów tkackich „Kilim”. Jego największą zasługą było stworzenie polskiej szkoły drzeworytu. Wcześniej, w latach zakopiańskich, współtworzył mit podhalańskich górali i szlachetnych zbójników. Często sięgał do podhalańskiej scenerii i folkloru, w narracyjnych scenach ukazując górali w saniach czy spieszących na pasterkę.

Na akwareli  (71×102 cm) z 1910 roku przedstawił hołd pasterzy i „swojskich” trzech króli w zimowym górskim pejzażu. Przed ośnieżonym kościółkiem Dzieciątku grają góralscy muzykanci, a na pierwszym planie po prawej stronie widzimy stojących godnie z darami… szlachciców w żupanach i narzuconych deliach z futrzanymi kołnierzami, w wysokich butach i wysokich czapach. Trzeci w tej pańskiej grupce stoi za ich plecami, jakby chciał ukryć swoją egzotykę, którą zdradza jednak barwny turban na głowie, nijak przystający do zimowego pejzażu. Szlachcicom towarzyszą psy, wyrywające ku szopie, gdzie na śniegu stoją pasterskie podarunki. A ku podcieniu, które zastąpiło stajenkę, do kościółka dąży długi sznur postaci schodzących z gór w oddali i niosących swoje skromne, przyziemne prezenty. Akwarela świetnie oddaje nastrój zmierzchającego już za chwilę dnia, a bogactwo narracyjnych elementów ma w sobie wdzięk dzieł sztuki naiwnej, lecz myliłby się, kto by zechciał ją do niej zaliczyć. Skoczylas, jak można się na tym wczesnym przykładzie jego twórczości przekonać, umiał też pięknie malować i

niuansować kolory.

**PATRONI**

Mędrcy ze Wschodu są czczeni w Kościele z oczywistych względów jako patroni podróżujących i pielgrzymów, a także handlowców, właścicieli gospód oraz… kuśnierzy.

Trzej Królowie podjęli trudy wędrówki, by ujrzeć Dziecię. Nawiązał do nich Thomas Stearns Eliot, pytając o sens tej podróży w wierszu napisanym w rok po swoim nawróceniu na anglokatolicyzm, nazywany po angielsku High Church, a będący mniej sprotestantyzowaną wersją anglikanizmu.

> **Podróż trzech Króli**
>
> Mroźna to była wyprawa;
> Najgorsza pora roku
> Na podróż, zwłaszcza tak długą:
> Drogi tonące w śniegu i lodowaty wiatr,
> Najokrutniejsza zima.
>
> Rozdrażnione wielbłądy, pokaleczone, zbolałe,
> Kładły się w mokrym śniegu.
> I było nam czasem żal

Letnich pałaców na wzgórzu, osłonecznionych tarasów,
I jedwabistych dziewcząt roznoszących napoje.
Poganiacze wielbłądów klęli i złorzeczyli,
Żądali napitku, kobiet, przepadali bez wieści,
Nocne ogniska gasły, nie było gdzie się schronić;

A miasta były wrogie, mieszkańcy nieprzyjaźni,
Wioski brudne i chytre, za wszystko żądano złota.
Ciężka to była próba.
Wędrowaliśmy w końcu już tylko w ciągu nocy,
Śpiąc byle gdzie i płytko,
I słysząc w sobie głos, który powtarzał w kółko:
To jest czyste szaleństwo.

Aż któregoś poranka, śniegi mając za sobą, zjechaliśmy w dolinę,
Łagodną, żyzną, wionącą zapachem wielu roślin,
Gdzie nad strumieniem stał młyn i młócił kołem ciemność,
A dalej, pod niskim niebem, wznosiły się trzy drzewa,
I stary, siwy koń biegł łąką, galopem, w dal.
Stanęliśmy przed gospodą porosłą liśćmi wina;
W otworze drzwi sześć rąk rzucało raz po raz kośćmi i zgarniało srebrniki,
Stopy zaś uderzały w puste bukłaki po winie.

Nikt jednak tam nic nie wiedział; ruszyliśmy więc dalej

> I dopiero pod wieczór, prawie w ostatniej chwili,
> Trafiliśmy w to miejsce – można powiedzieć – właściwe.
>
> Pamiętam, było to dawno;
> Dziś bym postąpiłbym tak samo, tylko trzeba zapytać
> Trzeba zapytać
> O to: czy cała ta droga nas wiodła
> Do Narodzin czy Śmierci? Że były to Narodziny, to nie ulega kwestii,
> Mieliśmy na to dowody. Bywałem świadkiem narodzin i byłem też świadkiem śmierci,
>
> I było dla mnie jasne, że są to różne rzeczy; jednak te narodziny
> Były dla nas konaniem, ciężkim jak Śmierć, śmierć nasza.
> Wróciliśmy do siebie, do naszych starych Królestw,
> Ale w tym dawnym obrządku jakoś nam już nieswojo,
> Obco wśród tego tłumu zapatrzonego w swe bóstwa.
> Rad byłbym innej śmierci.
>
> **Tłum. Antoni Libera**

W tej ciężkiej próbie, jaką jest wędrówka przez życie i jaką jest wędrówka do wiary, cały czas słyszeli w sobie głos, który powtarzał w kółko: „To jest czyste szaleństwo”.

Czyste szaleństwo życia i wiary, jej ciemnej nocy również. Przypomina mi się wzieta z Tertuliana definicję wiary: „credo, quia ineptum”  – wierzę, bo to niedorzeczność. W formule tej niedorzeczność światle oświeceni, może i sam Wolter, zastąpili banalnym „absurdem”. Tertulian w *De Carne Christi* (O Ciele Chrystusa) mówi: *I umarł Syn Boży, co wręcz dlatego jest wiarygodne, że jest niedorzeczne. I złożony w grobie zmartwychwstał – to jest pewne, bo niemożliwe* (łac. *Et mortuus est Dei Filius, prorsus credibile est, quia ineptum est. Et sepultus resurrexit; certum est, quia impossibile est*).

Więc ten głos, towarzyszący niedospanym nocom, niewygodom, szepczący o szaleństwie, a więc o czymś nieracjonalnym, nierozsądnym, głupim nawet może, a nakazującym kontynuację podróży, milknie, gdy królowie wchodzą w łagodną dolinę. I tam gdzieś „przed gospodą porosłą liśćmi wina”, nieprzypadkowo chyba nim obrośniętą, następne aluzje naprowadzają nas na Ukrzyżowanie. Nikt jednak tam „nie wie” i dopiero stamtąd, „dopiero pod wieczór”, ku dnia końcowi, „prawie w ostatniej chwili” docierają w miejsce właściwe. To Betlejem. Nie wymienione z nazwy. I tu pojawia się pytanie o najgłębszy sens podróży „czy cała ta droga nas wiodła Do Narodzin czy Śmierci?” I dopowiada Eliot w niepełne trzy wersy dalej: „jednak te narodziny były dla nas konaniem, ciężkim jak śmierć, śmierć nasza”.

Paradoks nawrócenia polega na tym, że umiera w nas „stary człowiek”, to nasze znane nam „ja”, by mógł urodzić się nowy, by serce jego stało się Betlejem. I zaraz potem okazuje się, po powrocie w stare pielesze, wśród starych obrządków, po podróży powrotnej, że wędrowcy mają się „nieswojo”, „obco”. Jak zatem mamy rozumieć wers ostatni? Czy dosłownie? Sądzę, że słowa Eliota misternie budują sens, więc służą raczej podkreśleniu ogromu przemiany już dokonanej i całej drogi – „czystego szaleństwa” tej podróży.

Trzej Królowie mogą patronować nie tylko kuśnierzom, dla patronowania którym jest zapewne wyjaśnienie jakieś przyziemne, płaszcz królewski futrem podbity i lamowany, albo i coś innego. Mogą wszystkim. O tym najbardziej uniwersalnym patronacie mówił papież Benedykt XVI:

> Mamy prawo powiedzieć, że reprezentują oni drogę religii ku Chrystusowi (…). Są oni w pewnym sensie naśladowcami Abrahama, który na wezwanie Boże rusza w drogę. Na inny sposób są naśladowcami Sokratesa i jego pytania o większą prawdę od tej głoszonej przez oficjalną religię. W tym sensie postacie te są poprzednikami, pionierami, poszukiwaczami prawdy, którzy mają znaczenie dla wszystkich czasów.

**Zobacz też:**

Choinka i świąteczne kartki w historii i tradycji

O bożonarodzeniowych szopkach i kulcie Dzieciątka

---

# O dychotomii róż...



Anna Maria Mickiewicz

**Anna Maria Mickiewcz** *(Londyn)*

Był sierpniowy wieczór, gdy otrzymałam dwie wiadomości od poetów z różnych części globu… Ciekawi fakt, że dotyczyły podobnego tematu – zagadnienia róży w literaturze. Odezwali się poeci Adam Siemieńczyk i Alison Brackenbury. Adam zapraszał na spotkanie poetyckie poświęcone różom, Alison przysłała swój najnowszy wiersz poświęcony tym kwiatom. Czy to zbieg okoliczności? Chyba nie. Dodam, że na nieboskłonie pojawił się niespotykanej wielkości księżyc, nocą iskrząc spadały kosmiczne drobiny, a wieczorami podziwialiśmy w Londynie niespotykanej

wielkości tęczę, która otaczała miasto łuną…

Od niepamiętnych czasów róża jest symbolem dwóch przeciwstawnych, komplementarnych sił – Erosa, boga miłości i Tanathosa, boga śmierci. Najstarszy znany dziś zapis o róży pojawia się w na glinianych tabliczkach sumeryjskiego króla o imieniu Szarru-kin, pisze Józefina Jagodzińska.

Oto jak motyw róż zaprezentowała Alison w swym utworze:

*The roses are in season and*
*the sweetest is the German rose*
*whose name I think means happiness,*
*whose snow breathes June to lips and nose.*
*July booms in with thunderstorms.*
*Ask, in their growl, what ageing means:*
*stiff knees, lost names, a sudden wish*
*to turn from roses to broad beans.*

*For broad beans are in season and*
*my mother skinned them, then would cook*
*her thick white sauce, the fatal fat,*
*with parsley which my great-aunt took*
*to munch from rows, threw, torn, still green*
*into her morning porridge bowl.*
*She lived past ninety, grew broad beans.*

*I think that they deserve their skins.*
*I think they do not need a sauce.*
*I chew upon their glistening curves*
*as patiently as my old horse.*
*The pea’s white flower, on crossed sticks, leans;*
*for months, potatoes plump. How short*
*is the warm season for broad beans.*

---

A po polsku brzmi to mniej więcej tak:

*Róże mają swoją porę*

*najsłodszą jest niemiecka róża*

*której nazwa jak myślę oznacza szczęście,*

*której śnieg tchnie czerwcem ku ustom i nozdrzom.*

*Huczą lipca burze.*

*Pytają, warcząc, co starzenie się oznacza:*

*sztywne kolana, utracone imiona, nagła chęć*

*by porzucić róże dla bobu.*

*

*Bób też ma swoją porę i*

*moja matka zdejmuje z niego skórki, a potem gotuje*

*gęsty biały sos, śmiertelny tłuszcz,*

*z pietruszką, której babcia narwała*

*aby ją chrupać z grządek wrzuconą, rozdartą, jeszcze zieloną,*

*do porannej miski z owsianką.*

*Dożyła ponad dziewięćdziesiątki, uprawiając bób.*

*

*Myślę, że zasługuje na swoją skórkę.*

*Myślę, że nie potrzebuje sosu.*

*I żuję jego lśniące zakola*

*tak cierpliwie, jak mój stary koń.*

*Groszku biały kwiat, na skrzyżowanych patykach, pochyla się;*

*miesięcami, ziemniaki pulchnieją. Jak krótka*

*jest ciepła pora bobu.*

Symbolika róży w kulturze brytyjskiej posiada swą długą tradycję.  Określenie *English rose*  oznacza na Wyspach piękną kobietę. Kwiaty te odnajdujemy nie tylko na klombach, są obecne w ogrodach, domach. Zachwycają tysiącem odmian, kolorów i zapachów, wytrzymałe na zmienną pogodę i wichry. Brytyjczycy są z nich bardzo dumni. Gdy Londyn odwiedził Sławomir Mrożek odnotował w dzienniku *(…) Trawa tu rośnie cały rok, a w ogrodzie przed domem, w którym mieszkam, kwitnie róża na łodydze wyższej ode mnie. Ile razy wchodzę albo wychodzę z domu, wydaje mi się, że zwariowałem. (…)*

Ale róże to też ciernie i ból, czyli dychotomia i złożoność…

Należy przypomnieć o słynnych angielskich Różach Lancaster i York, które symbolizowały walkę o koronę Anglii, jaka wybuchała w okresie Średniowiecza; nazwana została Wojną Dwu Róż. Toczyła się pomiędzy wielkimi rodami: Yorkami,

reprezentowanymi przez białe róże i Lancasterami z symbolem czerwonych róż. Wojnę zakończyli Tudorowie, spokrewnieni z obydwoma przeciwnikami. Ich herb łączy białą różę i czerwoną różę, które teraz stoją tuż obok siebie.

Róże stają się motywem baśni, nie są jednak szczęśliwe. W baśni Mała Dzika Różyczka w wersji zapisanej w 1697 roku przez Charlesa Perraulta, w dniu piętnastych urodzin królewna Różyczka, ukłuła się w palec wrzecionem i zasnęła aż na sto lat!

Na koniec chciałabym przywołać mój debiutancki wiersz, który również nawiązuje do tematu róży i pokazuje obie jej strony:

**Czarne róże chcą znów zakwitnąć**

> Dreszcze przeszywają do szpiku kości
>
> opada wilgotna mgła
>
> zakleja oczy umarłych drzew
>
> obudź się
>
> wstań

muśnij kroplę… rzęsą wzruszenia

zakwitnij w snach

spotkamy się tam

na pewno

w wielkim ogrodzie

gdzie obok róży rośnie róża




**Anna Maria Mickiewicz:** poetka, eseistka urodzona w Polsce, od lat mieszka poza granicami kraju, początkowo w Kalifornii obecnie w Londynie. Publikuje w języku polskim i angielskim. Współpracuje z redakcją londyńskiego *Pamiętnika Literackiego*. Jest członkiem *English PEN*. Wraz z amerykańskim wydawnictwem *Contemporary Writers of Poland* przygotowuje cykliczne antologie poetyckie. W roku 2020 utworzyła wydawnictwo poetyckie *Literary Waves Publishing.*

Należy do kilku londyńskich grup poetyckich: *Enfield Poets, The*

*Highgate Society's Poetry Group, Exiled Writers Ink*. W ramach tej działalności często prezentuje swoje utwory w języku angielskim podczas otwartych spotkań poetyckich w Londynie. W 2013 i w 2018 roku wieczory poświęcone jej twórczości zorganizowały grupy poetyckie *Poets Anonymous* i *Exiled Writers Ink* w prestiżowej *Poetry Cafe* należącej do brytyjskiego Stowarzyszenia Poetów *(The Poetry Society)*. W ramach działań *Enfield Poets* bierze udział w tworzeniu tzw. *Stanza Enfield*. Jest to strona internetowa na której autorzy zamieszczają swoje utwory i poddają kreatywnej krytyce utwory swoich kolegów. Współpracuje również z wydawnictwem z Bristolu *Poetry Space*.

W ogłoszonym konkursie internetowym przez *Poetry Space* na wiersz tygodnia, jej utwór *A grey coat* zajął pierwsze miejsce. W 2013 roku uzyskała tytuł Autorki Roku Miasta Literatów (USA). Występowała też wielokrotnie w radiu poetyckim *Poets Anonymous*. W 2013 roku wiersz *A London Dream* został opublikowany w brytyjskiej antologii *Through a Child's Eyes: Poems from World War Two*. Promocja książki odbyła się podczas festiwalu literackiego w Penzance w Kornwalii.

Od lat publikuje swoje utwory w anglojęzycznych magazynach literackich i antologiach w Wielkiej Brytanii, USA, Indiach: *Kritya, Exiled Writers Ink, Syndic Literary Journal*. Najnowsze publikacje*: Litterateur RW* (Indie), *Madness Muss Press* (USA), *The Beach Hut* (UK), *The Creative Process* (USA), *The Fringe*

*Poetry Magazine* (USA), *Ink Sweat and Tears* (UK).

Jej pierwszą publikacją książkową był tomik *Dziewanna,* wydany w niezależnej oficynie; Warszawa: Galeria Słowa, 1984. Tomik został poszerzony i wydany ponownie – *Proscenium*, Lublin: Norbertinum, 2010. Anglojęzyczny tomik *London Manuscript* został opublikowany w Wielkiej Brytanii w wydawnictwie *Poetry Space*. Drugi anglojęzyczny tomik *The Mystery of Time* w USA (2019).  Opublikowała też tomik polsko-bułgarski *Lato w Seaford* (Polska).

Zajmuje się również tłumaczeniami utworów poetyckich. Przede wszystkim współczesnych poetów brytyjskich i amerykańskich. Zostały one zaprezentowane na stronie literackiej Pisarze.pl i w magazynie literackim *Poezja dzisiaj*. Przetłumaczone utwory zostały również wydane w tomach poetyckich: *Zza oceanu* i *Atlantyckie strofy.*

Współpracowała z wieloma organizacjami m.in. z brytyjskim kanałem TV Channel 4, Instytutem Spraw Publicznych w Warszawie. Tłumaczyła scenariusz programu, który poświęcony był Lechowi Wałęsie. Tłumaczyła również scenariusz teatralny na podstawie *Małego Księcia*. Spektakl został zaprezentowany w Londynie. Wraz z brytyjskim tłumaczem literatury polskiej, Noelem Clarke'iem brała udział w tworzeniu wystawy *Eagle and Lion,* która zaprezentowana została podczas oficjalnej wizyty

królowej Elżbiety II w Polsce. Nagrodzona przez Fundacje im. Stefana Batorego.

W roku 2013 zorganizowała, wraz z dr Urszulą Chowaniec, na *University College London School of Slavonic and East European Studies*, prapremierę Światowego Dnia Poezji UNESCO *Piękni Ludzie – Europejskie Dialogi Literackie*, która odbyła się w ramach spotkań seminaryjnych: *eMigrating Landscapes Seminars on contemporary emigration & its literary and artistic representations.*

Współzałożycielka niezależnego pisma *Wywrotowiec* w latach osiemdziesiątych. Przez wiele lat współpracowała z londyńskim serwisem korespondentów oraz z redakcją kwartalnika artystycznego i naukowego *Quo Vadis?* Współpracuje z portalem literackim Pisarze.pl. Od wielu lat jest członkiem zarządu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Założycielka i moderatorka pierwszego portalu literackiego Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (Londyn).

W 2000 roku w wydawnictwie Norbertinum opublikowała książkę *Okruchy z okrągłego stołu* (Lublin: Norbertinum, 2000). Pozycja została umieszczona w bibliografii *Historia najnowsza Polski, wybrane zagadnienia.* Bibliografię przygotowano według zaleceń Ministerstwa Edukacji Narodowej, które ogłosiło rok 2009/2010 Rokiem Historii Najnowszej. W 2019 roku autorka

opublikował książki *Londyńskie bagaże literackie* (książka była nominowana do Nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie), *Pokolenie „Współczesności”* i anglojęzyczną antologię *In Honour of the Artists* (USA).

Artykuły, recenzje, krótkie opowiadania jej autorstwa oraz wiersze drukowane były w wielu pismach ogólnopolskich i zagranicznych, m. in. w londyńskim *Dzienniku Polskim*, nowojorskim *Nowym Dzienniku, Przeglądzie Polskim*, miesięczniku literackim *Akant, Poezji dzisiaj*, londyńskim *Pamiętniku Literackim*, *Nowym Czasie*. W roku 2012 otworzyła portal *Fale Literackie,*
http://faleliterackie.com/anna-maria-mickiewicz,286.html

Anna Maria Mickiewicz jest też współautorką opracowań o charakterze eseistycznym. *Proza Polska na Obczyźnie. Problemy-dyskursy-uzupełnienia, t. 1,2*. Rzeszów: Wydawnictwo UR, 2007 oraz *Lublin 2020,* Lublin: Wydawnictwo WSPiA, 2009. Wstępy jej autorstwa ukazały się w książkach: Krzysztofa Muszkowskiego *Spod angielskiego parasola*, Toruń: Archiwum Emigracji, 2006 i w australijskim zbiorze opowiadań *Moja emigracja. My migration*, Wydawnictwo Favoryta, Australia 2012.

Uhonorowana medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis i Krzyżem Wolności i Solidarności.

**Zobacz też:**

> Sławomir Mrożek. Rozmowa przy kawie o flircie, teatrze i wolności.

---

# Karnawał u Potockich w Łańcucie



Muzeum zamek w Łańcucie, fot. www.zamek-lancut.pl

**Joanna Sokołowska-Gwizdka** *(Austin, Teksas)*

Alfred Potocki, ostatni łańcucki ordynat uwielbiał konie, polowania i wykwintne przyjęcia, które urządzała jego matka Elżbieta z Radziwiłłów, zwana „Betką”. Po śmierci ojca, Romana Potockiego, nowy ordynat Alfred wraz z matką zajęli apartamenty reprezentacyjne na pierwszym piętrze. Elżbieta Potocka, znana z zaborczego charakteru nie chciała dopuścić do tego, aby syn się ożenił. Skutecznie zrażała wszystkie potencjalne kandydatki na żony. A już na pewno nie mogła dopuścić do wielkiego skandalu towarzyskiego i ślubu z amerykańską aktorką, którą hrabia Potocki przywiózł do Łańcuta ze swoich  wojaży. Na wielki opór w sprawie synowej, wpłynął też dawny obyczaj. Po ślubie syna – ordynata, matka – wdowa,

powinna opuścić reprezentacyjny apartament na pierwszym piętrze i przenieść się do bardziej kameralnych pokoi na drugim piętrze.

Alfred Potocki ożenił się więc dopiero po jej śmierci, na emigracji, przekroczywszy  70-tkę.  Na słynnych łańcuckich balach i przyjęciach dla dyplomatów i utytułowanych gości, odbywających się głównie podczas karnawału,  królowała więc matka łańcuckiego ordynata.

– *Gdy zjeżdżali się Ci wszyscy ważni goście* – wspominał nieżyjący już lokaj Potockich z pierwszego piętra, Aleksander Świątoniowski –  *mieliśmy bardzo dużo pracy i to prawie całą dobę. Potocki z matką przyjeżdżali do Łańcuta na Święta Bożego Narodzenia. Goście pojawiali  się dopiero na Sylwestra i z reguły bawili do Trzech Króli. Potem ordynat jechał za granicę. Wracał w wakacje, lub jesienią w sezonie polowań. Później znów gdzieś wyjeżdżał. I tak co roku.*



Elżbieta z Radziwiłłów Potocka, matka ostatniego ordynata w kostiumie karnawałowym, jako Szecherezada, Lwów, 1909 r., fot. arch. J. Sokołowskiej-Gwizdka

Tak więc Wigilię Bożego Narodzenia i Święta spędzano tradycyjnie, rodzinnie, w małym gronie. Wielkie przyjęcia zaczynały się od powitania Nowego Roku. Brat Alfreda, Jerzy, ożeniony z wnuczką prezydenta Peru – Susaną Yturregui y Orbegoso, zwaną Suzanitą, wieloletni ambasador Polski w Stanach Zjednoczonych, miał kontakty w kręgach dyplomacji. Łańcut, malowniczo położony wśród lasów na drodze w

Bieszczady,  był więc wspaniałym miejscem spotkań polityków i dyplomatów. Tutaj w zaciszu, z daleka od stolicy, w przyjemnej atmosferze można było omówić ważne dla Polski problemy.

– *Prowadziłem wtedy życie międzynarodowe i krąg moich przyjaciół ciągle się powiększał* – pisał Alfred Potocki w swoich „Pamiętnikach”. – *Przyjmując ich i robiąc z Łańcuta miejsce spotkań dla dyplomatów i wybitnych gości zza granicy, byłem pewien słuszności swych usług dla swojego kraju.*

Gośćmi ordynata Potockiego byli prezydent Mościcki, minister Beck, królowa Rumunii, księstwo Kentu. Wizyty te hrabia Alfred starannie opisywał:



Alfred Potocki, IV ordynat (1886-1958), fot. Muzeum Zamek w Łańcucie

*…król Ferdynand i królowa rumuńska Maria przybyli do Łańcuta o siódmej wieczorem. Matka i ja wyjechaliśmy przyjąć ich na dworcu i towarzyszyć aż do zamku. Byli na obiedzie w Sali Białej w towarzystwie czterdziestu gości. Królowa była ładna i miła. Para królewska obejrzała stajnie, stadniny i cieplarnie, potem pojechała konno ze Skrzyńskim, naszym ministrem spraw zagranicznych. Królowa jechała na „All Fourse", jednym z moich ulubionych koni. Okazała się doskonałym jeźdźcem, pomimo błota. Mówiła z żalem o Piłsudskim, który właśnie złożył wizytę w Rumunii.*

*…Wiele mówiono w Łańcucie, gdy dowiedziano się, że książę i księżna Kentu przybyli tam z wizytą* – opisuje dalej hrabia Alfred. *– Na dworzec przyjechali o pół do trzeciej po południu. Gdy wychodzili z wagonu zamkowa orkiestra zagrała „God Save the King", potem pojechaliśmy do zamku pojazdem zaprzężonym a'la Daumont. Przed herbatą książę spacerował ze mną, poszliśmy obejrzeć stadninę. Po obiedzie odbył się bal w dużym salonie. Beck z żoną przyjechali nazajutrz rano w towarzystwie naszego kuzyna Józefa. M.in. byli zaproszeni Johannes i Marizza Lichtensteinowie i brat mój Jerzy. Książę nigdy nie był zmęczony rozrywkami. Oczarował mnie nie udawaną przyjemnością jaką odczuwał z pobytu w zamku. Nigdy nie było księcia bardziej naturalnego, jak ten piękny syn królewskiego domu Anglii, ze*

*swoimi ruchliwymi rysami i błyszczącymi oczami. Urodzony sportowiec, barczysty, atletycznej budowy, zgrabny, po całych dniach jeździł konno i tańczył aż do brzasku. Trzeciego wieczoru jego pobytu urządziliśmy obiad w kostiumach, potem nastąpiły szarady, w których książę grał główną rolę. Portret jego nie byłby zupełny, jeśli nie powiedziałbym o jego uwielbieniu dla zachwycającej księżny, dawnej księżniczki greckiej, której obecność w Łańcucie była jednym z najmilszych wspomnień.*



Bal kostiumowy połączony z przedstawieniem amatorskim, Łańcut, Jadalnia Biała, ok. 1930 r. Elżbieta z Radziwiłłów Romanowa Potocka, Alfred Potocki, Jerzy Potocki, Suzanita Yturregui Potocka (przebrana za kucharza), żona hr Szembeka, wiceministra spraw zagranicznych Polski, fot. arch. J.

Sokołowskiej-Gwizdka

Polowania, muzyka i taniec stały się  tradycyjną częścią sposobu życia.  – *Ludzie zawsze tańczyli, ale nigdy tak jak wówczas* – wspomina Alfred Potocki. – *Londyn i Paryż szalały na punkcie tańca. Podobnie jak wszyscy nauczyłem się nowych tańców, gdyż krępującym było nie znać ich. Później nawet matka brała lekcje charlestona.* Staropolskie obyczaje nie zawsze jednak były zgodne z etykietą, a nadmiar spożywanego alkoholu nawet w tak wykwintnym towarzystwie, niósł za sobą nieprzewidywalne skutki. Pewnego roku jak zwykle w karnawale zamek tętniał życiem Na jedno z przyjęć zaproszono ambasadora Francji. Gdy nad ranem większość biesiadników była już pijana, jeden z Sapiehów, staropolskim zwyczajem picia zdrowia niewiasty z jej trzewiczka, nalał do swojego buta pół butelki wina i poufale poklepując ambasadora po ramieniu poczęstował go trunkiem, wznosząc przy tym toast „za Polskę i gospodarzy”. Następnego dnia ordynat zapowiedział służbie, aby zapomnieli o tym niefortunnym incydencie. Niestety gazety francuskie się rozpisały, jak to w rodowej siedzibie polskiego arystokraty potraktowano dyplomatę. Hrabia Potocki i sprawca całego nieporozumienia, hrabia Sapieha długo jeszcze musieli przepraszać obrażonego gościa. Na usprawiedliwienie hr Sapiehy można tylko dodać, że trunki w Łańcucie mieli przednie, nigdzie indziej nie spotykane.

Dziad ostatniego ordynata, również Alfred, idący z duchem czasu

i powiększający łańcucką fortunę, założył w miasteczku gorzelnię. Z czasem gorzelnia się rozrosła, gdyż zapotrzebowanie na trunki Potockich było coraz większe. W dawnej Polsce wódkę pędziło się głównie we dworach, gdzie była ona na różne sposoby zaprawiana ziołami, korzeniami, robiona jako nalewka na pestkach owoców, cynamonie, anyżu, skórkach z pomarańczy. Były więc wódki: anyżówka, cynamonowa, kminkówka, ratafia, persico, krambambula itd. Natomiast w Łańcucie wyprodukowano prawdziwy alkoholowy poemat, zwany „rossolisem" według oryginalnej receptury Potockich. Był to rodzaj likieru o trzech podstawowych smakach, ziołowym, kawowym i różanym.

Gdy pod koniec wojny na tereny Polski wkroczyła Armia Radziecka, gorzelnię w Łańcucie wysadzili wycofujący się Niemcy. W aparacie destylacyjnym jeszcze pozostał alkohol, żołnierze radzieccy strzelali więc do kolumny destylacyjnej, po czym łapali tryskający spirytus do ust lub do hełmów. Jeden z żołnierzy zapalił się od papierosa i leży pochowany na łańcuckim cmentarzu.

---

**Źródła:**

Aleksander  Świątoniowski – lokaj Potockich z pierwszego piętra,

rozmowa

Alfred Potocki: „Pamiętniki”, maszynopis, Muzeum-Zamek w Łańcucie.

---

# Nowy Rok 2021




Drodzy Autorzy i Przyjaciele magazynu „Culture Avenue”!

W Nowym Roku życzę, aby nie zabrakło nam normalności, bliskości drugiego człowieka oraz optymizmu, który tak nam teraz jest potrzebny.

Bądźmy razem, mimo wszystko, spotykajmy się na Culture Avenue, dzielmy się swoją wiedzą i twórczością, budujmy most

pomiędzy nami, Polakami, których losy rzuciły poza ojczyznę a krajem z jego kulturą i historią.

Przypomnę, że magazyn „Culture Avenue” powstał w 2016 roku, jako kontynuacja redagowanego przeze mnie przez 6 lat „Listu oceanicznego” – pisma literacko-kulturalnego wydawanego przez „Gazetę” w Toronto  Motywacją dla założenia pisma był prof. Florian Śmieja z Kanady, nestor poetów emigracyjnych, wielce zasłużony dla kultury polskiej poza krajem. Był moim najlepszym doradcą i współredaktorem.

> Ze Śląska w świat literatury i nauki. Prof. Florian Śmieja (1925-2019) o sobie.

Ważnym momentem dla magazynu było przyznanie w 2018 r. statuetki im. Macieja Płażyńskiego. przez Press Club Polska, za utrwalanie osiągnięć wybitnych Polaków działających na emigracji, o których w Polsce niewiele wiadomo. Statuetkę odbierałam w Muzeum Emigracji w Gdyni.

> Nagroda dla magazynu „Culture Avenue”

W tym roku w lutym nastąpił atak hakerów na magazyn. W ciągu kilku godzin zniszczono ponad 1300 artykułów oraz wszystkie kopie, które były na tym samym serwerze. Potem nastąpiła pandemia, co utrudniło działania na rzecz odtworzenia zawartości.

Po ponad półrocznej przerwie, 15 października magazyn ruszył. Profesjonalna firma odzyskała dane i założyła zabezpieczenia. Mam nadzieje, że sytuacja się już nie powtórzy.

W roku 2021 w magazynie „Culture Avenue" będą kontynuowane cykle: w pierwszy poniedziałek miesiąca – wspomnienia dokumentalisty z Toronto, Tadeusza Jaworskiego, w pierwsza środę miesiąca – felieton Katarzyny Szrodt z Montrealu na temat sztuki emigracyjnej, we wtorki – poezja, w środy – galeria sztuki, w piątki – wywiady.

Dziś wyjątkowo, jeszcze w klimacie sylwestrowym, ukaże się artykuł o karnawale u Potockich z Łańcuta, zamiast wspomnień afrykańskich Tadeusza Jaworskiego. Wspomnienia te ukażą się w poniedziałek – 11 stycznia 2021 r.

Pojawi się też nowy cykl – „Opowieści teksaskie", ilustrowany materiałem filmowym.

Przy „Culture Avenue" powstanie Salon Wystawowy, w którym

artyści – emigranci nie tylko będą pokazywać swoje prace, ale i będa mieli możliwość ich sprzedaży.

Powstaje też dział e-booków, z materiałami z „Culture Avenue”, które będzie można pobrać.

Poza tym, z radością informuję, że magazyn zyskał nowych autorów z nowymi pomysłami.

Zapraszam więc w Nowym Roku do lektury tekstów, a chętnych, którzy chcą się podzielić swoją twórczością, do współpracy.

*z noworocznymi pozdrowieniami z Austin w Teksasie*

*Joanna Sokołowska-Gwizdka*

*redaktor*

**O redaktorze magazynu „Culture Avenue” – Joannie Sokołowskiej-Gwizdka:**

> Joanna Sokołowska-Gwizdka – laureatką ZŁOTEJ SOWY POLONII

Twórcy wizerunku Polonii

# Zabawy sylwestrowe



*„Polonez” – litografia barwna/papier, Antoni Zalewski, ze*

*zbiorów Muzeum Zamek w Łańcucie.*
**Joanna Sokołowska-Gwizdka** *(Austin, Teksas)*

Wigilia Nowego Roku, popularnie zwana Sylwestrem oraz sam Nowy Rok od dawien dawna był celebrowany. Odpowiednimi zachowaniami chciano zapewnić sobie dostatek i szczęśliwość na nadchodzący rok, jednocześnie zamykając, czy też przeganiając stary rok. Dużo miejsca staropolskim obyczajom sylwestrowym i noworocznym poświęcił Zygmunt Gloger w „Encyklopedii staropolskiej" (Wiedza Powszechna, 1985), której motto – *obce rzeczy wiedzieć dobrze jest, swoje obowiązek* – prowadzi przez meandry staropolskich tradycji i nazewnictwa.

Pod hasłem „Nowy Rok" czytamy: *Królowie polscy dawali wszystkim dworzanom swoim nieraz cenne podarki, gdy ci winszowali im „nowego lata". (…).* Obdarowywano się więc podarkami, na znak dobrobytu, najczęściej bogaci obdarowywali biednych, aby zasłużyć sobie dobrymi uczynkami na boże łaski.

Winszowano też sobie wzajemnie. Zygmunt Gloger pisze: *Starzy Polacy na Nowy Rok witali go słowami „Bóg cię stykaj", co znaczyło polecenie opiece bożej. Kapłan w kościele po kazaniu winszował parafianom i kolatorowi Nowego Roku, a po nabożeństwie przyjmował sam powinszowania na plebanii.*

Chodzono też po sąsiedzku składając sobie życzenia. Bywało, że

w szkołach klasztornych uczyły się bezpłatnie chłopskie dzieci, dostawały tam mieszkanie, a okoliczni mieszkańcy dostarczali żywność. Dzieci te w Nowy Rok obchodziły gromadnie wszystkie domy, aby życzyć „dobrego lata” i śpiewały gospodarzom takie piosenki, które by ich rozśmieszyły. Młodzież w miastach traktowała chodzenie po domach jako przednią zabawę. Wszyscy dostawali w zamian jakieś smakołyki.

Na wsiach zdarzało się też chodzić po domach z życzeniami noworocznymi razem z młodym wilkiem lub małym niedźwiadkiem. Jak nie było dostępnych takich zwierząt, przebierano się w skóry zwierzęce, a jak i tych nie miano, wystarczył kożuch odwrócony włosiem do góry, z czapką udającą głowę kozła. Przebieranie się za zwierzęta (turoń, kozioł, niedźwiedź) i odgrywanie komicznych scenek, pozwalało na symboliczne przejęcie cech zwierząt, ich siły, zdrowia i energii życiowej. Kolędnicy chodzili po domach także w okresie tzw. Godów, czyli od Wigilii do Trzech Króli, a potem w Ostatki., śpiewając kolędy i dostając za to smakołyki, które każdy gospodarz w okresie świątecznym miał. Była to wymiana darów, my ci życzymy zdrowia i dobrobytu, a ty podziel się tym co masz. Czasami zdarzało się, że kolędnicy chodzili z szopką z kukiełkami, odgrywając jasełka.



Kolędowanie na starej pocztówce

Zwyczaj chodzenia po domach w Nowy Rok z życzeniami i przyjmowania podarunków był już znany dawnych Słowianom. Jednak wówczas Nowy Rok obchodzony był na wiosnę, gdy świat budził się do życia. Obyczaj ten związany był też z kultem zmarłych, wierzono, że to bliscy, którzy odeszli są opiekunami tych, którzy zostali.

W wigilię Nowego Roku popularne też były spotkania towarzyskie i wróżby.

Zygmunt Gloger pisze: *Najwięcej atoli różnych zwyczajów i wesołości łączy się w Polsce z obchodem wilii Nowego Roku, w ostatni wieczór roku starego. Nikt nie spędza tej chwili samotnie.*

*Zbierają się na ten wieczór rodziny, bliżej sąsiadujące na wsi, kółka przyjaciół w miastach, gromadzi się młodzież wiejska u ludu, aby wesoło i przy jasnem ognisku, wśród zabaw rozmaitych, zakończyć  rok stary. Dziewczęta czynią wróżby zamążpójścia, jak w wigilię św. Andrzeja, Jest bowiem między dniami tymi ten związek, że św. Andrzej zakończa rok kościelny. Było mniemanie, że dziewica, która w wigilię Nowego Roku doczeka północy i wpatrując się przy świetle dwóch świec jarzących w zwierciadło, ani razu nie obejrzy się za siebie, ujrzy w zwierciadle, poza sobą postać przyszłego małżonka.*

Gloger podaje też, że „uprzywilejowaną potrawą" była w noc sylwestrową tzw. lemieszka, czyli gęsta zupa zrobiona z mąki pszennej, żytniej lub gryczanej, której przygotowywano duże ilości. *Młodzież przy spożywaniu uderza się nawzajem łyżkami po policzkach, a potem sąsiadom okna maże z nadwórza, a to jak mówią, na znak, żeby w ciągu nowego roku mieli wszyscy usta i domy pełne chleba. Wieczór ten nazywa się szczodrym, a winszowanie po domach zowie się chodzeniem po szczodrakach za „nowem latkiem".*

W niektórych rejonach Polski był też zwyczaj, żeby w noc sylwestrową komuś coś ukraść, bo gdy Nowy Rok zastał gospodarza z przywłaszczonym sobie nie swoim dobytkiem, było to zapowiedzią pomyślności. Potem te zabrane sąsiadom „fanty" zwracano. Wierzono też, że jaka będzie wigilia Nowego Roku,

taki też będzie Nowy Rok.

A Nowy Rok, jak pisze Gloger: *powinien zastać bochen chleba na stole gospodarza, jako znak obfitości tego daru bożego, który przez rok cały nie powinien schodzić z jego stołu, ale wraz z solą, przysłonięty bielonym ręcznikiem, służyć na powitanie i posiłek dla gościa i ubogiego. Przy powitaniu na Nowy Rok obsypywano się owsem na znak pożądanej obfitości ziarna wszelkiego.*

Wierzono też, że bardzo ważna jest pierwsza osoba, która wejdzie w Nowy Rok do domu. Najwięcej szczęścia wróżył młody mężczyzna, najlepiej blondyn. Najgorszą wróżbą była kobieta, choćby najpiękniejsza.

Bale sylwestrowe przyszły do Polski z zachodniej Europy dopiero w połowie XIX w. i zadomowiły się głównie w miastach. Na wsiach chłopi nie chcieli się wyrzec swoich tradycji kolędowania, a ziemianie w Sylwestra wybierali się saniami na polowanie. Potem siadano przy ognisku, jedzono, pito i gwarzono. O zmierzchu, gdy odtrąbiono zakończenie polowania, wracano do swoich dworów. Wieczorem ziemianie szli do kościoła na Mszę Świętą, a po niej wracali do domów by dalej świętować przy suto nakrytym stole. O godzinie 24 strzelali z batów lub rusznic na wiwat. Obdarowywano się też tego dnia podarkami. Jeszcze w XIX wieku aptekarze wysyłali znajomym rodzinom ziemiańskim paczuszki m.in. z wodą kolońską.

- 
Do siego Roku !




W Nowy Rok na dworach polskich śpiewano kolędy przy choince. Do stołu siadano po wspólnej modlitwie zainicjowanej przez właściciela majątku, który dziękował za mijający rok i prosił o pomyślność w Nowym Roku. Bardzo ważnym elementem noworocznego biesiadowania były tradycyjne słodycze: pączki, pierniki, faworki a do picia wino i poncz. Składano też sobie życzenia, jak w Wigilię.

Huczne obchody nocy Sylwestrowej w Polsce pojawiły się

dopiero na przełomie XIX i XX w. Początkowo bawiła się głównie arystokracja i bogate warstwy społeczeństwa. 1 stycznia uchwalono dniem wolnym od pracy dopiero w 1924 r.

Nowy Rok opijano tokajem – słodkim, węgierskim winem deserowym. Tradycja picia szampana pojawiła się po II wojnie światowej. Po wojnie wraz z ekspansją karpia na wigilijnych stołach, pojawił się też zwyczaj chowania łuski karpia do portfela lub do buta, aby nowy rok był pomyślny.

W XX-leciu międzywojennym ziemianie, jak za dawnych czasów, w Sylwestra polowali, potem ucztowali w gronie rodziny, a o północy strzelali z bicza, natomiast inteligencja w miastach bawiła się w modnych lokalach.

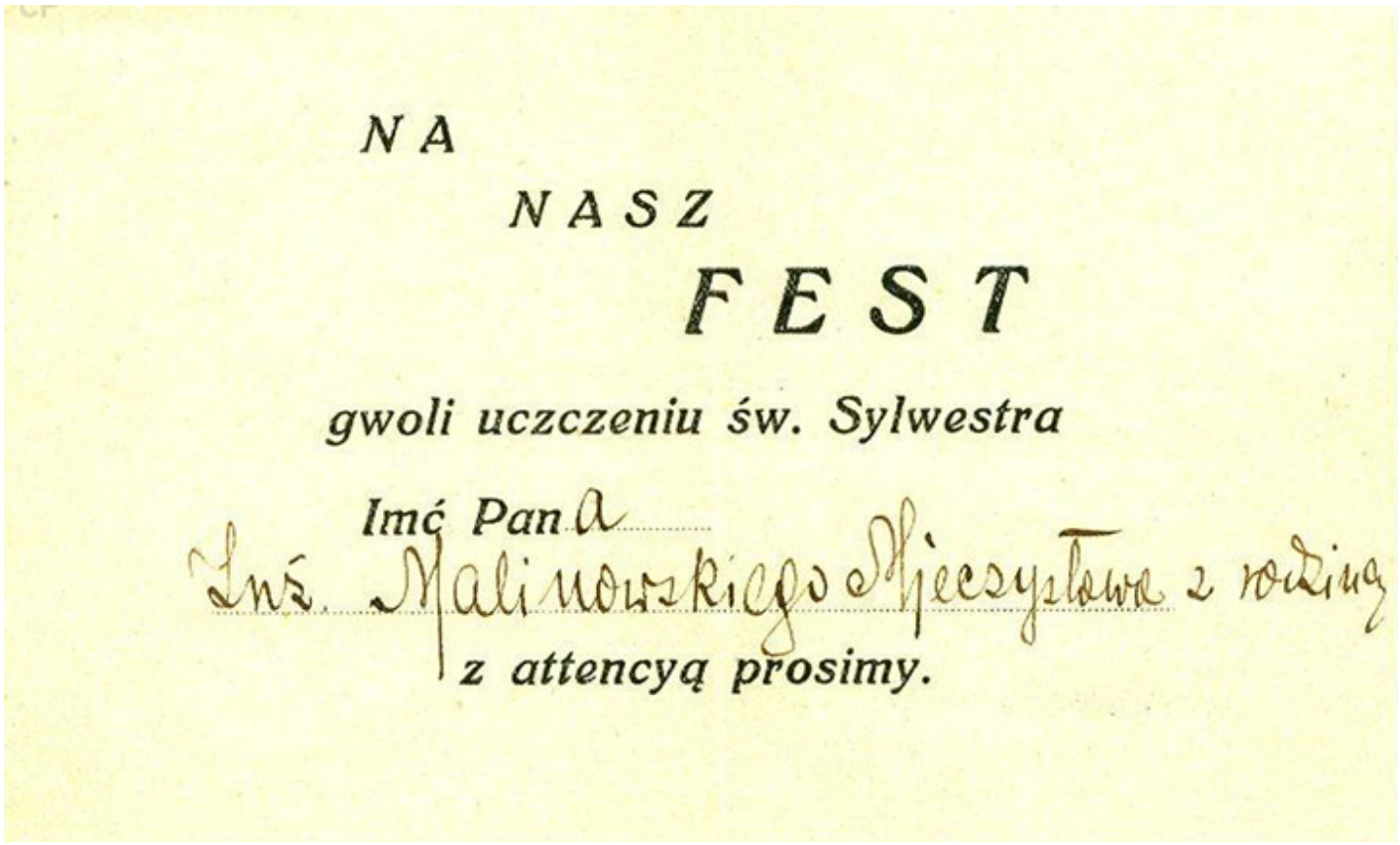
W PRL-u sylwestrowej nocy wciąż towarzyszyły przesądy i wróżby. Młode dziewczęta lały wosk, aby dowiedzieć się, co przyniesie im przyszłość. Z sylwestrowych zwyczajów najdłużej przetrwało wróżenie z bąbelków szampana.

Partyjni notable bawili się w dużych salach, przy wódeczce, serpentynach i w towarzystwie grających na żywo zespołów. W latach 80. i 90. bawiono się w kultowych lokalach, zakładach pracy lub w domach.

Po zmianach ustrojowych w Polsce w latach 90. pojawił się też

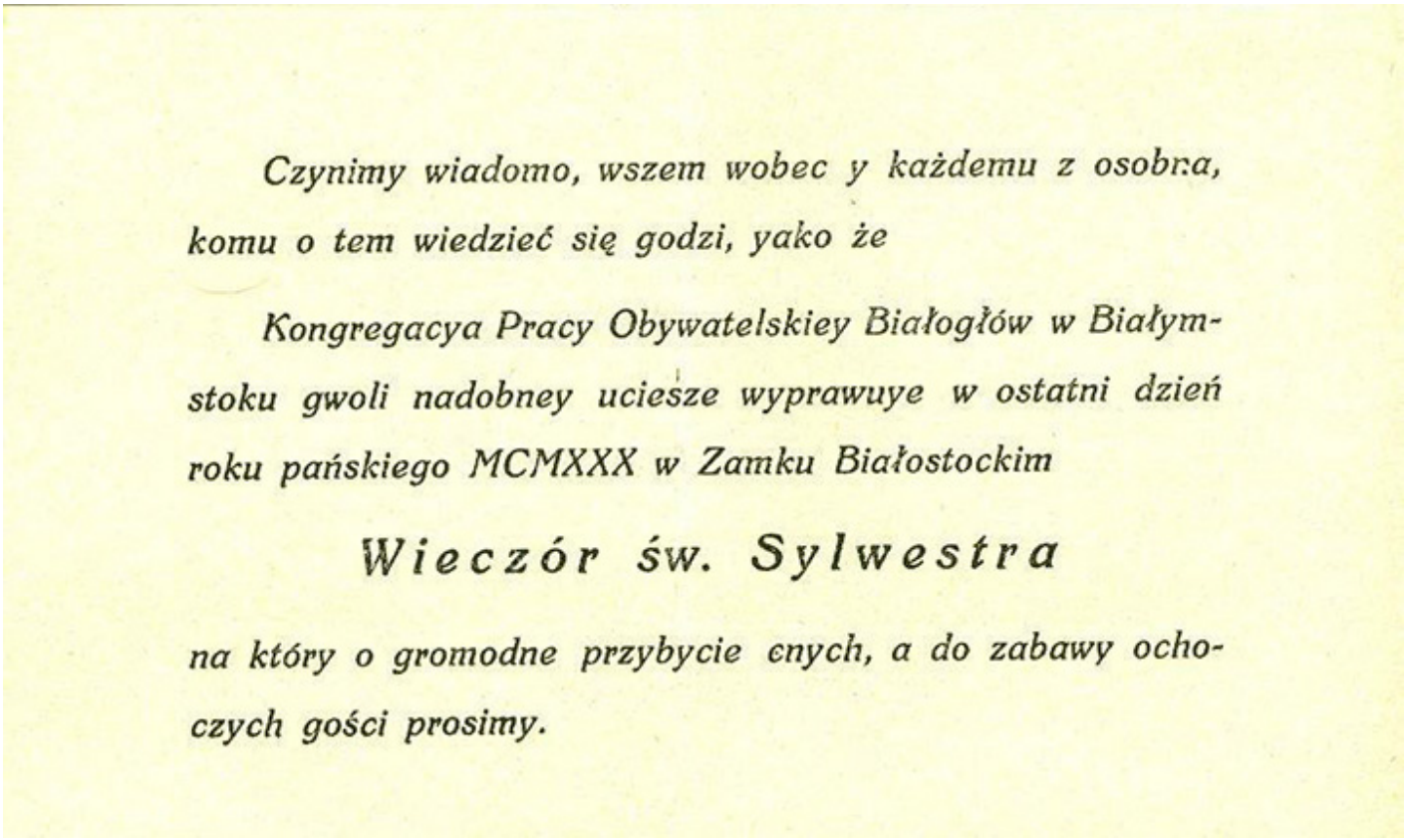
zwyczaj miejskich sylwestrów, które przerodziły się w wielkie wydarzenia ze specjalnie zbudowaną sceną, koncertami z udziałem znanych artystów i pokazem fajerwerków. Pierwszym tak dużym miejskim sylwestrem był sylwester milenijny na Placu Defilad w Warszawie.

A na koniec ciekawostka, zaproszenie na bal sylwestrowy i powitanie 1931 roku na Zamku w Białymstoku. Zachęta do przyjścia nie wymaga komentarza, a to kopytkowe 5 złotych polskich nie wydaje się być wygórowane. Mieli dawni biesiadnicy fantazję.


NA
NASZ
FEST
gwoli uczczeniu św. Sylwestra
Imć Pana
Inż. Malinowskiego Mieczysława z rodziną
z attencyą prosimy.

Zaproszenie na nasz Fest gwoli uczczeniu św. Sylwestra, Imć Pana Inż. Malinowskiego Mieczysława z rodziną z attencyą

prosimy.



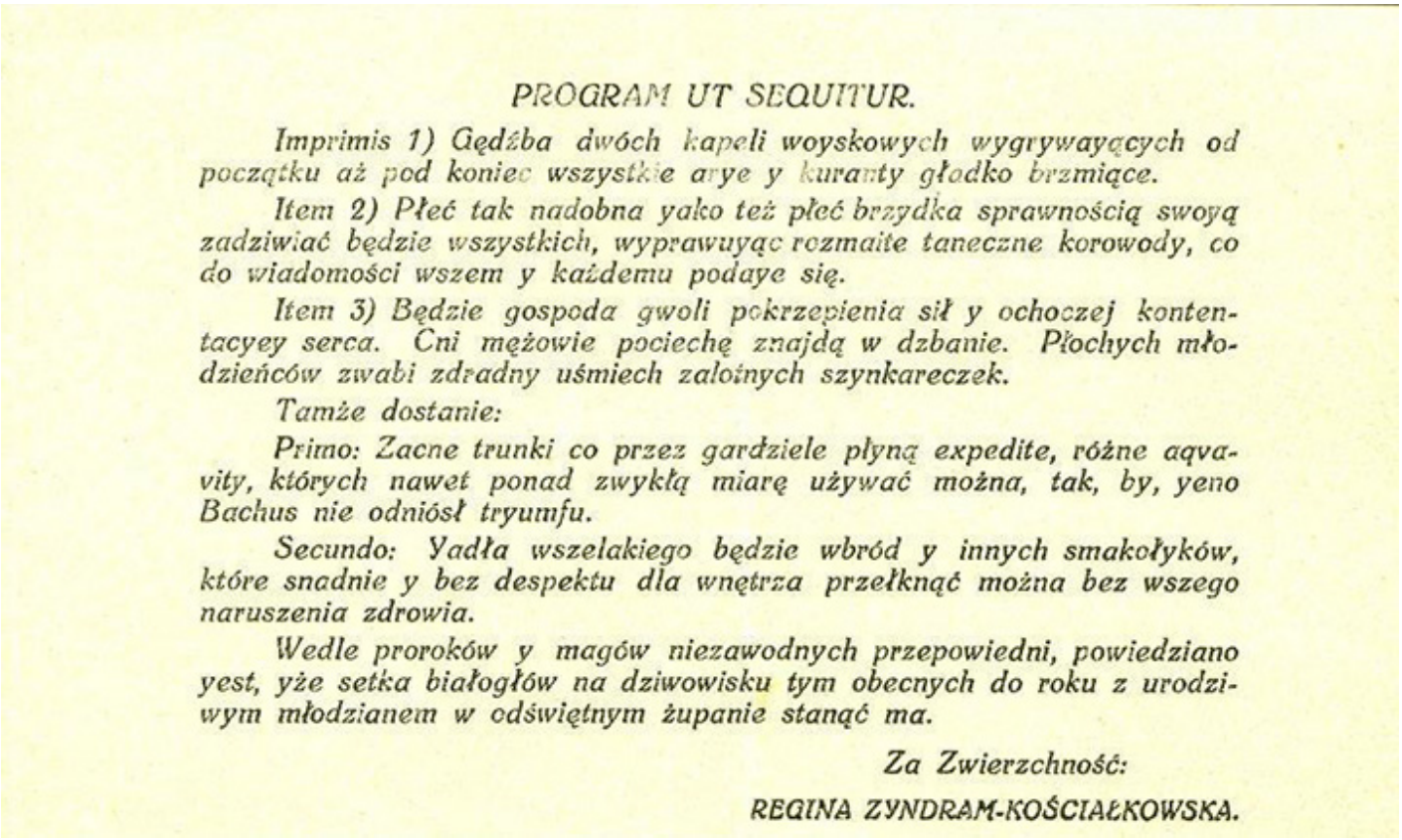
*Czynimy wiadomo, wszem wobec y każdemu z osobna, komu o tem wiedzieć się godzi, yako że*

*Kongregacya Pracy Obywatelskiey Białogłów w Białymstoku gwoli nadobney uciesze wyprawuye w ostatni dzień roku pańskiego MCMXXX w Zamku Białostockim*

**Wieczór św. Sylwestra**

*na który o gromodne przybycie cnych, a do zabawy ochoczych gości prosimy.*

Czynimy wiadomo, wszem, wobec y każdemu z osobna, komu o tem wiedzieć się godzi, yako że Kongregacyja Pracy Obywatelskiey Białogłów w Białymstoku, gwoli nadobnej uciesze wyprawuye w ostani dzień Roku Pańskiego MCMXXX (1930) w Zamku Białostockim Wieczór Św. Sylwestra, na który o gromodne przybycie cnych, a do zabawy ochoczych gości prosimy.



PROGRAM UT SEQUITUR.

*Imprimis 1) Gędźba dwóch kapeli woyskowych wygrywayących od początku aż pod koniec wszystkie arye y kuranty gładko brzmiące.*

*Item 2) Płeć tak nadobna yako też płeć brzydka sprawnością swoyą zadziwiać będzie wszystkich, wyprawuyąc rozmaite taneczne korowody, co do wiadomości wszem y każdemu podaye się.*

*Item 3) Będzie gospoda gwoli pokrzepienia sił y ochoczej kontentacyey serca. Cni mężowie pociechę znajdą w dzbanie. Płochych młodzieńców zwabi zdradny uśmiech zalotnych szynkareczek.*

*Tamże dostanie:*

*Primo: Zacne trunki co przez gardziele płyną expedite, różne aqvavity, których nawet ponad zwykłą miarę używać można, tak, by, yeno Bachus nie odniósł tryumfu.*

*Secundo: Yadła wszelakiego będzie wbród y innych smakołyków, które snadnie y bez despektu dla wnętrza przełknąć można bez wszego naruszenia zdrowia.*

*Wedle proroków y magów niezawodnych przepowiedni, powiedziano yest, yże setka białogłów na dziwowisku tym obecnych do roku z urodziwym młodzianem w odświętnym żupanie stanąć ma.*

*Za Zwierzchność:*

REGINA ZYNDRAM-KOŚCIAŁKOWSKA.

Program:

1. Gędźba dwóch kapeli woyskowych wygrywających od początku aż po koniec wszystkie arye i kuranty gładko brzmiące.
2. Płeć tak nadobna yako też płeć brzydka sprawnością swoyą zadziwiać będzie wszystkich, wyprawiając rozmaite taneczne korowody, co do wiadomości wszem y każdemu podaye się.
3. Będzie gospoda gwoli pokrzepienia sił u ochoczej kontentacyey serca. Cni mężowie pociechę znajdą w dzbanie. Płochych młodzieńców zwabi zdradny uśmiech zalotnych szynkareczek.

Tamże dostanie:

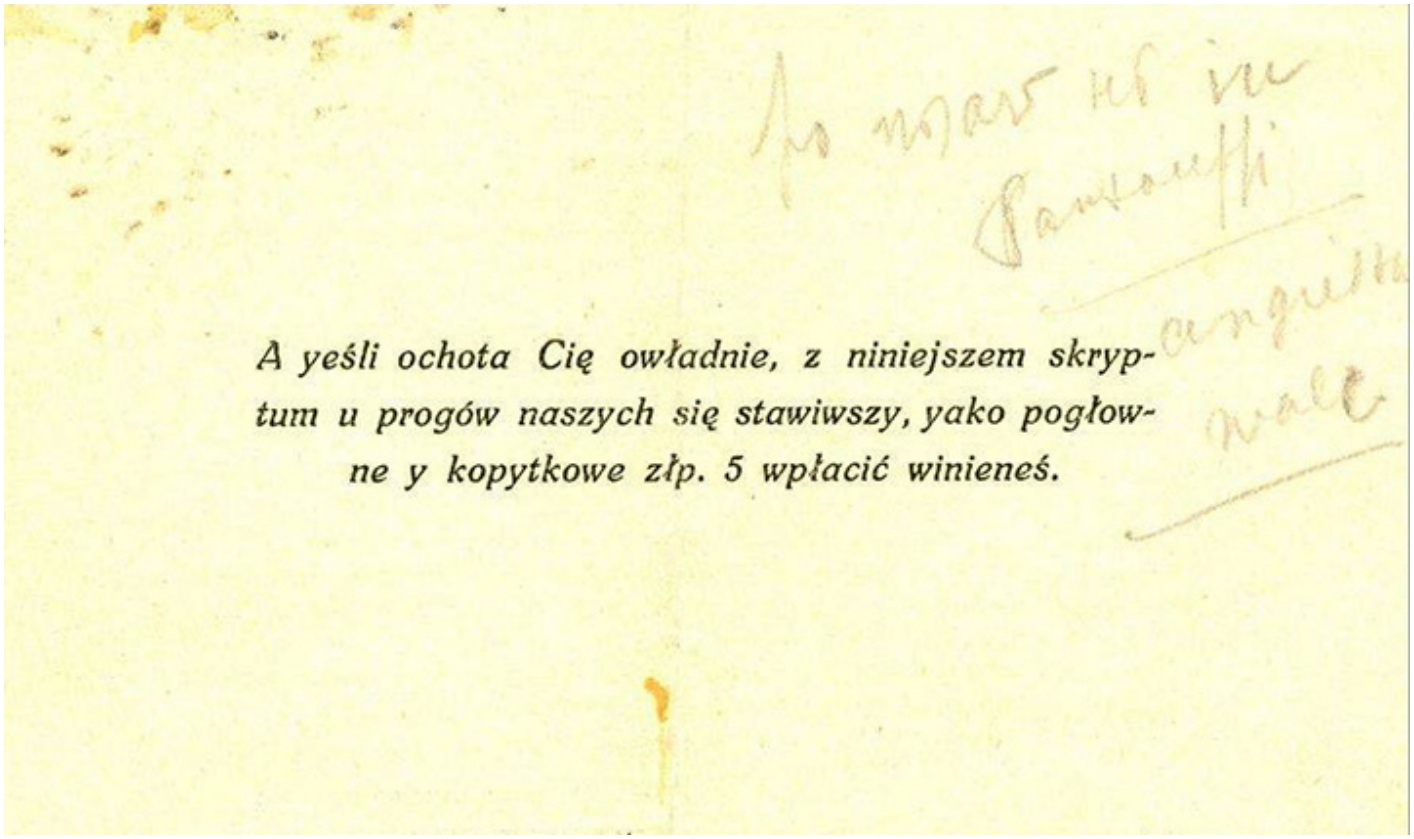
*Primo:* Zacne trunki, co przez gardziele płyną expedite, różne aqvavity, których nawet ponad zwykła miarę używać można, tak by yeno Bachus nie odniosł tryumfu.

*Secundo:* Yadła wszelakiego będzie wbród y innych smakołyków, których snadnie i bez despektu dla wnętrza przełknąć można bez wszego naruszenia zdrowia.

Wedle proroków i magów niezawodnych przepowiedni, powiedziane yest iże setka białogłów na dziwowisku obecnych do roku z urodziwym młodzianem w odświętnym żupanie stanąć ma.

Za Zwierzchność:

Regina Zyndram-Kościałkowska




*ciekawepodlasie.pl*

A yeśli ochota cię owładnie, z niniejszem scryptum u progów naszych się stawiwszy, yako pogłowne i kopytkowe złp. 5 wpłacić winieneś.

Pandemia na pewno wpłynie na sylwestrowe tradycje, a bale wirtualne nie będą należały do rzadkości. Ale cóż, bez względu na warunki, bawmy się i cieszmy, żeby ten przyszły rok był dla nas łaskawszy. No i trzeba pamiętać, żeby w Nowy Rok nie wpuszczać do domu kobiety, choćby była najpiękniejsza, (a może zwłaszcza tej najpiękniejszej), bo po co kusić los. Ale jakiś przystojny blondyn…. to dobra wróżba, jak głosiły staropolskie obyczaje.

**Do siego Roku!**

---

# Karolina Lanckorońska

**Rozmowa z Kazimierzem Braunem o słuchowisku radiowym zrealizowanym na podstawie kolejnej sztuki z serii: Wielkie Polki – emigrantki.**



Karolina Lanckorońska na tarasie pałacu w Rozdole koło Stanisławowa, obecnie Ukraina, 1938 r., fot. AN PAN i PAU, sygn. KIII-150, j. 329

**Joanna Sokołowska-Gwizdka:**

**Po czterech powieściach, których akcja toczy się wokół teatru, „Dzwon na trwogę”, „Płonący teatr”, “Próba Apokalipsy”, „teatr@ziemia.niebo”, znów sięgnął Pan po bliski Panu gatunek – dramat. Powstała kolejna sztuka o Polce emigrantce. Tym razem jest to Karolina Lanckorońska. Co takiego zafascynowało Pana w tej postaci?**

**Kazimierz Braun:**

Przypomina Pani moje powieści, jak ktoś napisał – „o teatrze i nie tylko”. Rzeczywiście, od czasu kiedy już mniej reżyseruję, to jeszcze więcej piszę o teatrze. Ale już nie tylko książki historyczne i teoretyczne, ale prozę. To jest świetne narzędzie, aby zaglądać do wnętrz ludzi teatru, rozszyfrowywać działanie jego mechanizmów, zastanawiać się nad celami uprawiania teatru i osadzać teatr w otaczającej go rzeczywistości. A jest to dobra tradycja literacka – powieści o teatrze – jak *Lata nauki Wilhelma Meistera* J.W. Goethego, *Komediantka* Władysława Reymonta, czy *Powieść teatralna* Michaiła Bułhakowa. Ale nie zaniedbuję i dramatu. Tu od razu powiem, że niedawno powstała sztuka pt. „Kwarantanna”, w której próbuję mierzyć się i z tymi znanymi, i z tymi tajemniczymi siłami, które odmieniają świat, w którym żyjemy w czasach tzw. „pandemii”.

Co do Karoliny Lanckorońskiej, to prowadziły mnie do niej aż trzy drogi.

Po pierwsze, bardzo konkretnie, pragnąłem kontynuować, tak cenną dla mnie i tak długo już owocującą, współpracę z Marią Nowotarską i Agatą Pilitowską, w prowadzonym przez nie teatrze w Toronto. Chciałem więc dodać następne ogniwo do łańcucha napisanych przeze mnie, a granych przez nie, sztuk o wielkich Polkach – emigrantkach. Już przypomnieliśmy w ten

sposób publiczności polskiej na emigracji w wielu krajach, a także w Polsce, postaci Modrzejewskiej, Skłodowskiej-Curie, Łempickiej, Negri, Ordonówny. Praca nad Lackorońską była naturalną kontynuacją tego cyklu.

Po drugie, właśnie ona sama: modelowa, najczystsza kwintesencja polskości i kobiety niewzruszonych zasad moralnych, szczodrego serca, silnej woli, przenikliwej inteligencji, wielkiego rozumu, a także niezłomnej, głębokiej wiary.

Ale i po trzecie: jakoś mi było blisko do Karoliny Lanckorońskiej, bowiem słyszałem o niej od lat wiele od mojej krewnej (w rodzinie nazywaliśmy ją „ciocia"), Wandy Wyhowskiej, z męża De Andreis. Była istotnie krewną mojej babki, Henryki  Braunowej, z domu Millerówny. Obie pochodziły z Podola. Wanda Wyhowska wywodziła się z rodu słynnego Atamana, Hetmana Wyhowskiego, tego, o którym śpiewało się przy ogniskach „Wyhowskiego szablą krzywą mała bawi się dziecina. Ty Kozacze śpij leniwo. Płacze matka Ukraina…". Otóż Wanda Wyhowska współpracowała przez wiele lat z Karoliną Lanckorońską w Rzymie, w jej Fundacji. Odwiedzałem ciocię Wandę w Rzymie kilka razy i wiele od niej słyszałem o „Pani Karli".



Karolina Lanckorońska (1898-2002), fot. https://fundacjalanckoronskich.org/

**Sztuka pokazuje jedynie wojenne losy Karoliny Lanckorońskiej. A przecież bohaterka zmarła dopiero w 2002 r., jej ofiarna działalność na rzecz Polski długo trwała. Po wojnie osiedliła się we Włoszech, była jednym z inicjatorów założenia Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie, założyła Fundację Lanckorońskich z Brzezia z siedzibą we Fryburgu szwajcarskim i w Londynie, wspierała polską naukę, podarowała bezcenne dzieła sztuki z kolekcji**

**Lanckorońskich Zamkowi Królewskiemu w Warszawie i Państwowym Zbiorom Sztuki na Wawelu. Gdy pracowałam w Katedrze Literatury Staropolskiej na Uniwersytecie Łódzkim, szef katedry, prof. Jerzy Starnawski korzystał ze stypendium Karoliny Lanckorońskiej i jeździł za granicę opisywać bezcenne Polonica kupowane do polskich zbiorów. Karolina Lanckorońska była poza tym historykiem sztuki i to wybitnym. Co zatem Pana skłoniło, że zrezygnował Pan z bogactwa dokonań bohaterki po wojnie, na rzecz dramatycznych czasów wojennych?**

Właśnie – jak Pani mówi – „dramatyczne czasy wojenne" w życiorysie Karoliny Lanckorońskiej wydały mi się najlepszym materiałem do skonstruowania dramatu o niej. Były istotnie bardzo dramatyczne. Wszystko, o czym Pani mówi – jej działalność naukowa i charytatywna, opieka nad polskimi badaczami i wzbogacanie polskich zbiorów – jest też bardzo ważne i powinno być Karolinie Lanckorońskiej pamiętane. Ale jednak właśnie wojenny rozdział jej życia najlepiej nadawał się do wykorzystania jako osnowa dramatu. Był to przy tym rozdział zwarty, a zarazem dający jednak możliwość odniesień do jej życia przed wojną, a ogólnie do ukazania jej, jak mówi Norwid, jako „kobiety zupełnej". Te względy przemawiały za skoncentrowaniem się na tym właśnie rozdziale życia wielkiej Polki.

**Akcja sztuki dzieje się we Lwowie, w Krakowie, w Warszawie, Stanisławowie i obozie koncentracyjnym w Ravensbrück. W kolejnych miejscach widzimy jak bohaterka zmaga się z okrucieństwem wojny. We Lwowie jest profesorem Uniwersytetu im. Jana Kazimierza, przesłuchiwana przez NKWD, w Krakowie jest tłumaczem i pielęgniarką, w Generalnej Gubernii, a potem i na wschodnich terenach polskich wtedy pod rządami Niemców, gdy odepchnęli z nich Sowietów, organizuje dożywianie więźniów, w Stanisławowie jest przesłuchiwana i aresztowana przez Gestapo, a w obozie… daje wykłady o sztuce współwięźniarkom, co pomaga im przetrwać. Jak wyglądała Pana praca nad konstrukcją tej postaci?**

Musiałem się najpierw o niej jak najwięcej dowiedzieć – jak w wypadku wszystkich innych wielkich Polek-emigrantek, o których pisałem. Czytałem jej książki. Przypominałem sobie miejsca i dzieła sztuki, które kiedyś sam widziałem, a ona pozostawiła ich przepiękne i przenikliwe opisy i analizy – Akropol w Atenach, Pieta w Bazylice św. Piotra, obrazy Georgesa de la Tour i inne. Wracałem do opowieści Wandy Wyhowskiej o niej. Chodziłem z nią po Lwowie, po Krakowie i po Rzymie. Wprawdzie nie byłem nigdy w Ravensbrück, ale byłem, i to wiele razy, w Auschwitz (gdy pisałem o św. Maksymilianie Kolbe), więc i w baraku obozowym mogłem ją zobaczyć. Nie byłem nigdy w jej Rozdole – ale jego obrazy odnalazłem w Internecie. Z jej życiorysu

wojennego wydobyłem, niejako wydestylowałem, najważniejsze, zwrotne, dramatyczne zdarzenia, których była bohaterką, a które eksponowały cechy jej charakteru, osobowości, duchowości.



Pałac Lanckorońskich w Rozdole, okres międzywojenny, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

**Czy nie uważa Pan, że w obecnych czasach mamy deficyt bohaterów, ludzi niezłomnych, odważnych, prawych i szlachetnych. Czy ta postać, mimo że żyjąca w innych czasach i zmagająca się z jakże inną rzeczywistością, mogłaby służyć jako wzór dla młodego pokolenia?**

Jakże trafna Pani obserwacja! Jest taki deficyt. Postać Karoliny Lanckorońskiej pomaga, poprzez rozpoznawanie analogii, wydobywać z otaczającej nas rzeczywistości postaci podobnych do niej – ludzi niezłomnych, odważnych, prawych i szlachetnych. Są tacy. Tak, są, choć nieliczni. Przymierzeni do wzorca

Lanckorońskiej, takimi właśnie się okazują. Dlatego warto naprowadzać reflektor punktowy na scenie naszego współczesnego życia na Karolinę Lanckorońską.

**Z jakich źródeł, oprócz „Wspomnień wojennych" Karoliny Lanckorońskiej Pan korzystał?**

Jeszcze raz przypomnę, że słyszałem o niej wiele od Wandy Wyhowskiej. Bardzo dokładnie przestudiowałem „Wspomnienia wojenne" Lanckorońskiej. Przeczytałem również jej książkę „Michelangelo in Ravensbrück. One Woman's War against the Nazis". Jedna ze scen mojej sztuki wiele tej lekturze zawdzięcza. Oczywiście wiele jest o niej w Internecie.

**Sztuka została opracowana przez Salon Muzyki, Poezji i Teatru z Toronto jako słuchowisko radiowe p.t. „Lanckorońska. Opowieść o Wielkiej Polce". Czy decyzja o słuchowisku zamiast spektaklu teatralnego była podyktowana pandemią?**

To było jeszcze przed tzw. „pandemią". Sztuka została napisana z przeznaczeniem na scenę. Zrobiliśmy obsadę: Agata Pilitowska jako Pani Karla, Maria Nowotarska – w rolach kobiecych, Krzysztof Jasiński – w rolach męskich. Niestety, okazało się, że pewne źródła finansowe umożliwiające pracę Teatru Nowotarskiej wyschły. A przecież trzeba opłacać wynajem sali,

dekoracje, kostiumy, rekwizyty, plakaty, programy, nie licząc nawet jakichś skromnych rekompensat dla aktorów i innych realizatorów za ich ciężką pracę. To są realia teatru emigracyjnego. W tej sytuacji postanowiliśmy wykorzystać mój tekst jako materiał słuchowiska. To był świetny pomysł Marii Nowotarskiej. Przepracowałem na nowo egzemplarz. Powstało słuchowisko i zostało zrealizowane w tej samej obsadzie, ale – na propozycję Marii – ja sam biorę w nim także udział jako Narrator. To dla mnie wielka radość i wielki zaszczyt, móc opowiadać o wielkiej Polce, móc dialogować z wielkimi polskimi aktorami.



Kazimierz Braun, fot. arch. K. Brauna

**Jest Pan cały czas twórczy, wciąż ukazują się Pana nowe publikacje. Nad czym Pan teraz pracuje?**

Na początku naszej rozmowy wymieniła Pani moje książki „o teatrze i nie tylko". W 2020 r. ukazała się powieść „teatr@ziemia.niebo". Ale także w tym roku wyszły trzy inne książki: *Przewodnik po twórczości dramaturgicznej Cypriana Norwida* – w przygotowaniu do 200-lecia urodzin tego wielkiego pisarza, które przypada w 2021 r.; *Teatralizacja życia. Praktyki i*

*strategie* – praca teoretyczna na fascynujący mnie od dawna temat oraz powieść *Powrót Paderewskiego* – to jeszcze jeden wielki Polak, który był praktycznie emigrantem przez dużą część życia. Teraz pracuję nad współczesną powieścią pod roboczym tytułem *Rzeki Babilonu* – jej bohater próbuje odnaleźć siebie samego i sens życia w świecie poddanym konwulsjom globalnej „pandemii".

**Czy coś jeszcze chciałby Pan powiedzieć czytelnikom magazynu „Culture Avenue"?**

Ponieważ rozmawiamy w okresie świątecznym składam Pani oraz wszystkim Pani czytelnikom i słuchaczom serdeczne życzenia – na Boże Narodzenie: wszelkiego dobra duchowego, a także materialnego oraz oby światło ze Stajenki Betlejemskiej rozproszyło te ciemności, które teraz tak szczelnie kryją ziemię. Na Nowy Rok: aby był lepszy niż ten, który mija.

---

**Kazimierz Braun, *Lanckorońska. Opowieść o Wielkiej Polce*, słuchowisko radiowe z wizualizacją. Występują: Maria Nowotarska, Agata Pilitowska, Krzysztof Jasiński oraz autor. Muzyka: Jerzy Boski. Produkcja: Salon Muzyki, Poezji i Teatru w Toronto, Kanada, 2020 r.**

**Zobacz też:**

https://depot.ceon.pl/bitstream/handle/123456789/15801/Karolina_Lanckoronska_1898_2002.pdf?sequence=1&isAllowed=y

---

# Tyszkiewiczowie. Kretynga 2.




Helena Klotylda z Tyszkiewiczów Ostrowska, autorka pamiętników o życiu rodziny Tyszkiewiczów w XIX w. (z lewej) z matką Zofią Tyszkiewiczową, fot. Paulina Mongird, 1918-1919 r., © Kretinga Museum

**Joanna Sokołowska-Gwizdka** *(Austin, Teksas)*

System opieki nad dziećmi był ustalony. Do piątego roku życia zajmowała się nimi piastunka, pani Michałowska. Była wprawdzie mała, kulawa, nosiła czarną pelerynkę i czarny czepeczek, ale i tak wszyscy ją kochali, bo zastępowała matkę. Dzieci od piątego do dziewiątego roku życia przechodziły pod opiekę guwernantki Francuzki Mlle Fayard. Uczyły się głównie francuskiego i przedmiotów początkowych. Francuzka była

niska, otyła, ale za to bardzo ruchliwa. Ubierała się zawsze w luźne kaftany z białym kołnierzykiem. Do rodziny była tak przywiązana, że gdy wysłano ją kiedyś do Paryża, szybko wróciła, twierdząc, że w Kretyndze jest jej dom. Dzieci kochała jak własne, mimo że była bardzo surowa. Niezwykle pedantyczna, w pokoju miała idealny porządek, nie można więc było od niej wyjść, nie odstawiając krzesła na miejsce. Twierdziła, że najbardziej kocha Feliksa, bo gdy kiedyś się na niego rozgniewała i zaczęła krzyczeć, ten ze spokojem wziął butelkę z atramentem i w nią rzucił. Ma więc chłopiec charakter.

Po skończeniu dziewiątego roku życia, chłopcy jechali do szkół z internatem, a dziewczynki przechodziły pod opiekę panny Justyny Dmochowskiej. Ta była osobą niezwykle wykształconą, studia kończyła w Paryżu. Uczyła religii, historii, literatury, przyrody, geografii, języka polskiego i francuskiego oraz fizyki i logiki. Osobnym przedmiotem była nauka pisania listów. Pod okiem panny Dmochowskiej dziewczynki musiały na papierze sprawnie się wysławiać w co najmniej czterech językach. Nauczycielka nie była zbyt nowatorska w swoim systemie nauczania, uznawała metodę pamięciową za najwłaściwszą, niewiele tłumaczyła, kazała przyjmować „na wiarę”, że tak jest. Zosi i Helence to bynajmniej nie przeszkadzało, ale Marysia, z zacięciem naukowym, często protestowała. Dlatego trzeba było sprowadzać dla niej z Połągi dodatkowych nauczycieli. Panna Dmochowska jedynie do nauki historii wprowadziła pomoce

naukowe. Dużą tablicę, podzieloną na kwadraty, które przedstawiały jeden wiek. Tam wpisywało się najważniejsze wydarzenia dla każdego narodu. Dwie szable oznaczały wojnę, ściśnięte dłonie pokój, korona wstąpienie na tron itd. Dziewczynki miały przy tym dużo zabawy. Nauczycielka powinna nadzorować pracę innych guwernantek, ale jakoś jej to nie wychodziło, do niczego się nie wtrącała, nie było więc niepotrzebnych konfliktów.




Józef Tyszkiewicz z żoną Zofią z Horwattów, 1882-1885 r., fot.

Otto van Bosch, © Kretinga Museum
Dla sprawnego opanowania nauki języka angielskiego sprowadzono rodowite Angielki Miss Hardy, Miss Hislop i Miss St. Clair. Dwie pierwsze nie były zbyt udane. Jedna ciągle moczyła nogi w ceberku, przez co nie można było wyjść z jej pokoju, druga miała uczyć jeszcze matematyki, ale jakoś jej to nie wychodziło. Dopiero Miss Clair stanęła na wysokości zadania. Ojciec jej był dyrektorem College'u, córki więc przechodziły kurs męskiej szkoły. Miss znała wyższą matematykę, algebrę i geometrię. Tylko że wszystkie rachunki u niej odbywały się w funtach sterlingach, szylingach i pensach. Wszystkie nauczycielki miały wysoką pensję, bo po pięćdziesiąt rubli miesięcznie. Czuły się jak w rodzinie, mogły zapraszać bliskich i przyjaciół na całe miesiące. A gdy przeszły na emeryturę pozostawały nadal na utrzymaniu.

Oprócz na stałe przebywających  nauczycielek, wnoszących niewątpliwy koloryt do tego domu, w Kretyndze był zwykle jeszcze cały zastęp tzw. domowników. Należała do nich rodzona siostra hr Zofii ciotka, Grabowska, która większość swojego życia spędzała w pokoju z nieodłączną służącą Olesią. Nic nie chciała, nic jej do życia nie było potrzebne, czas zajmowała czytaniem i była chodzącą encyklopedią. Gdy któreś z dzieci czegoś nie wiedziało, biegło zaraz do ciotki Grabowskiej. Żona niezwykle przystojnego i urokliwego Karola Grabowskiego, po urodzeniu córki została sparaliżowana. Choroba nigdy jej nie minęła, po

wydaniu więc córki za mąż zamieszkała z siostrą pozwalając tym samym mężowi na hulaszcze życie. Gdy wuj Karol, niezwykle rzadko wprawdzie, głównie w sezonie letnim, odwiedzał swoją ślubną małżonkę, ta z wysokości kanapy podawała mu jedynie dłoń do ucałowania, nie zamieniając z nim żadnego słowa. Hr Zofia, jako osoba niezwykle religijna, namawiała często siostrę do przyjmowania sakramentów świętych, ale ta twierdziła, że jest zagorzałą ateistką, bo gdyby Bóg istniał, to by jej życie wyglądało inaczej.

W Kretyndze było już dwoje chorych wymagających ciągłej opieki. Do domowników zaliczano więc i doktorów, na stałe zainstalowanych w pałacu. Pierwszym doktorem był Polak dr Sawicki, po nim nastał Kurlandczyk dr Boelendorf, a następnie po kolei dwóch Niemców dr Ortman i dr Krejtner. Ten ostatni, podobnie jak dr Ortman, żonę znalazł w Kretyndze. Była to wychowanica Tyszkiewiczów niezwykle piękna, ale o nieznośnym charakterze, Marylka. Kiedyś hr Józef dowiedział się, że dr spotyka się potajemnie z Marylką w jednej z grot Ogrodu Zimowego. Jako prawny opiekun dziewczyny, kazał się tam zawieść w odpowiednim momencie. No i coż mógł innego zrobić biedny doktor, pozostało mu tylko oświadczyć się. Za chwilę słabości musiał zapłacić całym życiem, bo Marylka od niego uciekła,  zostawiła mu trójkę dzieci i dużo jeszcze miał przez nią problemów.



Ludwik Haiduk, muzyk na dworze w Kretyndze, fot. Mai és Társa, Budapeszt, II poł. XIX w., © Kretinga Museum

Hr Józef jako zagorzały wielbiciel wszelkiego rodzaju wynalazków, musiał mieć też przy sobie na stałe inżyniera, albo elektrotechnika, którzy również zaliczali się do domowników. No i oczywiście nie można zapomnieć o plenipotencie, panu Jarmułowiczu. Jego zadaniem było objeżdżać wszystkie liczne i rozległe majątki. Miał on dużą rodzinę, więc żonę wysyłał na zimę do miasta, a sam zamieszkiwał w kretyngowskim domu. Pan Jarmułowicz był wielkim patriotą, uwielbiał literaturę polską i

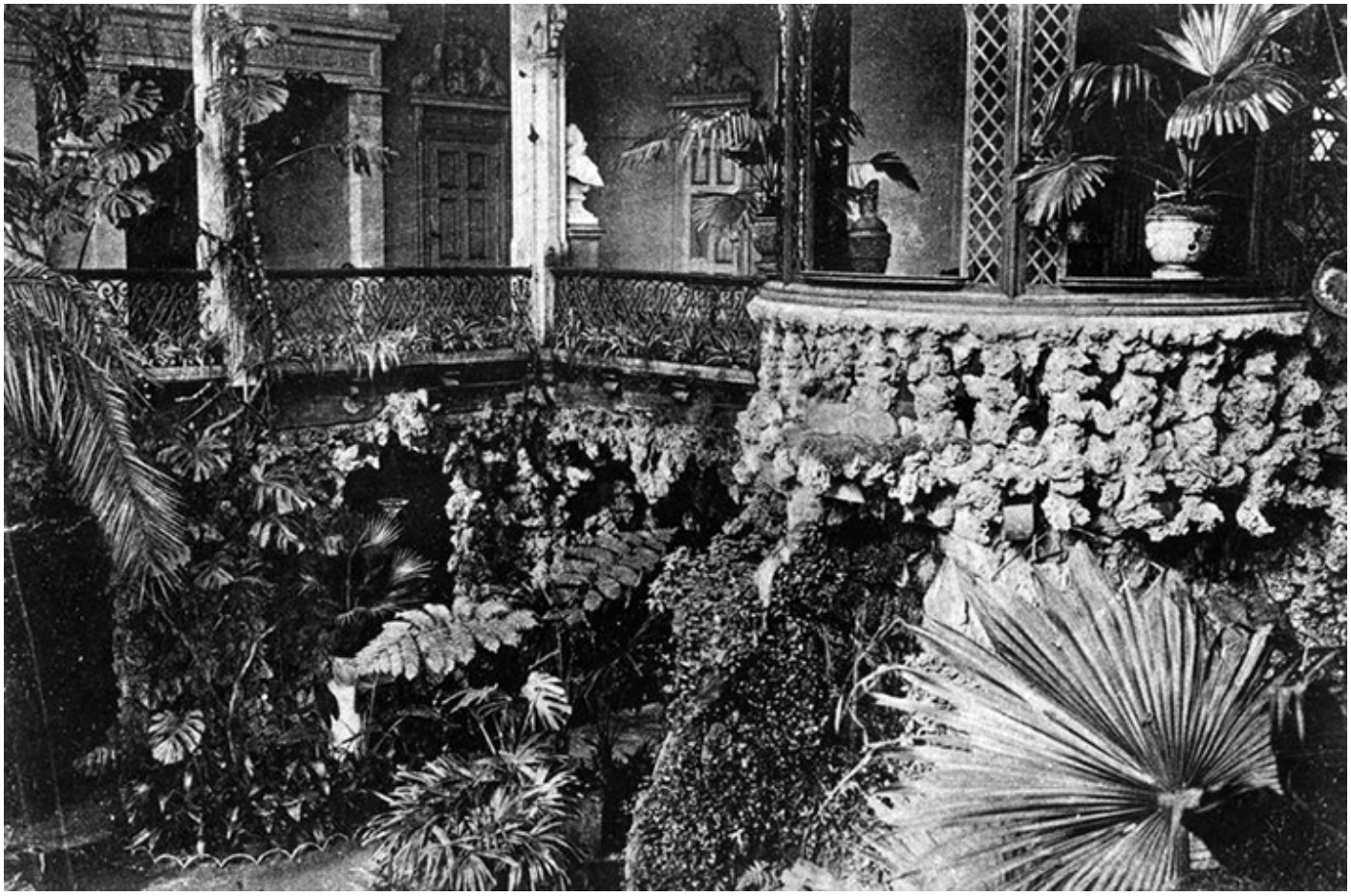
często przy stole, wieczorami z wielkim namaszczeniem odczytywał strofy z poematów Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Robiło to na wszystkich domownikach duże wrażenie. Ci wszyscy ludzie, zarówno rodzina, jak i rezydenci, nauczyciele i inni, należeli do tzw. „pierwszego stołu". Był jeszcze „drugi " i „trzeci stół".

Do „drugiego stołu" należeli wszyscy ci, którzy skupiali się w tzw. Bufecie. Tam schodzili się na posiłki różni domowi pracownicy, a rządziła tu wszechmocnie apteczkowa. Była ona szafarką kuchni, stołowni i spiżarni. Drugą wszechwładną osobą w bufecie była panna Petronela Pylińska. Zwyczajowo rodzice wydając córkę za mąż, dawali jej wraz z wyprawą schludną, starannie ubraną osobę, która miała się tą wyprawą opiekować i pomagać młodej mężatce w prowadzeniu domu. Taką osobą była panna Petronela. Panna służąca musiała być szlachcianką, nawet z drobnej szlachty i odróżniała się od pokojówek, chociażby tym, że siedziała przy drugim stole, a nie przy trzecim. Pokojówka zwykle usługiwała pannie służącej, sprzątała jej pokój, dbała o jej rzeczy. Do obowiązków panny służącej było przychodzić co rano do dzieci, lub do państwa, budzić, dzieci czesać i ubierać, utrzymywać wszystkie osobiste rzeczy w porządku. No i naturalnie każda osoba w majątku Tyszkiewiczów musiała umieć co najmniej śpiewać. Panna służąca zwykle nie zgadzała się siedzieć w razie potrzeby przy stangrecie, bo uważała, że swój honor ma i to jej ubliża. Tak więc taką osobistą panną służącą

była dla hr Zofii panna Pylińska, otrzymana jakoby w posagu od rodziców Horwattów z Barbarowa.

Wyglądała na dostojną matronę, niezwykle schludna, zawsze starannie ubrana z nienagannie białym i wykrochmalonym kołnierzykiem i żabotem, włosy uczesane z przedziałkiem, nigdy nie oparła się siedząc, zawsze prosta i sztywna, jak ten wykrochmalony kołnierzyk. Rodowita wilnianka mówiła czystym akcentem wileńskim, używała słów, które nie wszyscy znali. Mówiła „meszty" na pantofle, „kolonki", na spinki do mankietów, „wasistas" na lufcik. Miała przy tym mnóstwo właściwych sobie powiedzonek *niech cię kaczki podepczą*, czy *na pochyłe drzewo kozy skaczą*. W starszym wieku zrobiła się bardzo gderliwa, co stało się już nawet uciążliwe. Wiecznie marudziła, *a po co to wszystko, nic z tego dobrego nie wyniknie, a po co pani hrabina tego tyle kupuje, po co tyle pieniędzy wydawać itd.* W każdym razie stanowiła z całą swoją oryginalnością jeden ze stałych elementów kretyngowskiego domu. Do bufetowego towarzystwa należały też i inne panny służące Czasami do bufetu przychodziły nauczycielki, bo atmosfera tam zwykle była pogodna i wesoła. Grano w karty, żartowano, muzykowano na mandolinie.

Trzeci stół, najliczniejszy, obejmował głównie pracowników fizycznych, pracujących w obrębie majątku.



Oranżeria w pałacu w Kretyndze, fot. Paulina Mongird, pocz. XX w., © Kretinga Museum

W Kretyndze pora roku wyznaczała codzienny bieg. Jesienią wokół domu było jeszcze mnóstwo róż i roztaczającej wspaniały zapach lawendy. Aleje usypane żołędziami i kasztanami, tonęły w kolorowych liściach. Zimą pod dom zajeżdżały sanie po skrzypiącym śniegu. A wiosną na trawnikach wyskakiwały pierwsze fiołki i klomby białych anemonów. Potem koło jeziora i kaskady ukazywały się konwalie. Do tego dochodzące dzwony od strony Klasztoru Bernardynów i pianie kogutów od strony folwarków. Potem na trzy miesiące wszystko cichło, pustoszało, zaczynał się sezon połągowski.

Tryb życia w kretyngowskim domu był raczej spokojny i uregulowany. Wszyscy wstawali o godz. 7.00. Dziewczynki musiały się umyć, ubrać uczesać przy pomocy panny służącej i przygotować do lekcji. Zimą mycie było kłopotliwe, bo pokój był słabo ogrzany. Tylko w niedzielę, gdy można było dłużej pozostać w łóżku, w pokoju robiło się już cieplej. Do mycia służył półokrągły miedziany basen na nóżkach z kranikiem. Ranne śniadanie każdy jadł osobno, gospodarze u siebie w sypialni, dziewczynkom podawano zwykle na galerii zimowego ogrodu, czasem w małym pokoju obok, ze względu na możliwość skorzystania z pieca. Panienki mogły wtedy nakłuwać bułki na patyki i piec nad ogniem robiąc z nich chrupiące tosty. Do tego kawa, herbata i mleko do wyboru. Po krótkim śniadaniu wolno było przebiec szybko do drugiego domu odwiedzić ojca i zapytać się felczera jak minęła noc. Lekcje odbywały się 4 godziny do południa i dwie po południu. Zaczynały się o w pół do dziesiątej, według szwajcarskiego zegara z kukułką. Zawsze o w pół do drugiej podawano w Zimowym Ogrodzie obiad. Wtedy zbierali się wszyscy domownicy, hr Zofia była zawsze, hr Józef, gdy czuł się lepiej. Wtedy dzieci się cieszyły, bo ojciec pilnował, żeby nie jadły tego, czego nie lubią. Pamiętał, gdy jako mały chłopiec był zmuszany do jedzenia ryżu i do tej pory uważał, że to było nie potrzebne znęcanie się.

Po obiedzie wszyscy zasiadali w bocznej galerii na pluszowej kanapie przy marmurowym stole, podawano kawę lub herbatę.

Wywiązywała się wtedy zwykle rozmowa o polityce, komentowano to, co donosiła prasa. Potem dziewczynki miały obowiązkowy spacer bez względu na pogodę, chyba że na dworzu była jakaś niezwykła burza z piorunami. Na spacer chodzono głównie do miasteczka, po jakieś drobne zakupy, np. cukierki, których dzieci nie miały na co dzień, więc czasem przeznaczały na słodycze swoje kieszonkowe. Różne słodkie smakołyki były na stołach wręcz w nadmiarze, ale tylko w okresie świąt. Podczas roku szkolnego uważano, że małe ciasteczko, ogólnie podawane do poobiedniej kawy w zupełności powinno wystarczyć. Dzieci nie mogły grymasić, nie wolno było im się skarżyć, że czegoś im brakuje, a w razie pilnej zachcianki, miały swoje kieszonkowe, w nieprzekraczalnej, zawsze takiej samej kwocie. Czasami spacery kończyły się aż na folwarku, gdzie dochodziło się szeroką aleją. Jakaż to wtedy była atrakcja wejść do obory i dostać mleko prosto od krowy. Po spacerze znów odbywały się lekcje przed i po podwieczorku, który o godzinie 17.00 zwykle by celebrowany owocami wyhodowanymi przez pana Hejduka. O godz. 20.00 znów wszyscy schodzili się do jadalni na kolację. Potem każdy robił co chciał, często zimowe wieczory kończyły się koncertem, lub głośnym czytaniem polskiej literatury i angielskich powieści. Francuskich utwór nie wolno było dzieciom czytać, natomiast angielskie bez żadnej kontroli, czy ograniczeń. Dzieci o godzinie 21.00 szły spać, dorośli jeszcze często długo gawędzili przy świetle łukowych lamp i szumie zimowej kaskady.



Fragment ekspozycji Muzeum Historii Lokalnej Kretyngi, fotograf nieznany, koniec lat 70. XX w., © Kretinga Museum



Fragment ekspozycji Muzeum Historii Lokalnej Kretyngi, fotograf nieznany, koniec lat 70. XX w., © Kretinga Museum

Ten uregulowany, kretyngowski, jesienno-wiosenny tryb życia zmieniał się diametralnie dwa razy do roku w okresie świąt. Przyjeżdżali wówczas chłopcy ze szkół w Petersburgu i liczni goście. Czuło się, że jest święto. Pięciu dorastających młodzieńców wprowadzało ogromny ruch i ożywienie, opowiadając o swoich różnych szkolnych wyczynach. Uważano za rzecz naturalną, że młodsze siostry są na ich usługi. Nawet hr

Zofia, zwykle zajęta sprawami majątkowymi i chorobą męża poświęcała im dużo uwagi. Wyjątkową słabość miała do Władysława, który był taki czarujący. A że zwykle nie miał umiaru w wydatkach, matka często go potajemnie wspomagała. Hr Józef wymagał, żeby synowie ze swojej comiesięcznej pensji odkładali jakąś określoną sumę, jako żelazne *l'argent de garde.* Wszyscy się do tego stosowali, tylko nie Władzio, który był takim estetą, kochał się w pięknych przedmiotach, no i miał niezwykle hojny gest dla biednych, że nigdy nie umiał sobie poradzić z umiarem w wydatkach. Władzio był przy tym czuły i troskliwy. Jako jedyny z synów potrafił okazać matce swoje przywiązanie. O wszystkim jej mówił, pisywał do niej codziennie. Najstarszy Oleś okazywał swoją dojrzałość we wszystkim, co robił. Starał się zastępować chorego ojca, każdemu coś poradził, młodsze siostry traktował z pobłażaniem.

Podczas świąt Bożego Narodzenia niezwykle przyjemnie było siedzieć wśród palm, szemrzącego wodospadu i całej tej egzotycznej zieloności, gdy za oknem była śnieżna, zimowa zawierucha. Hr Tyszkiewiczowie w Landwarowie i zaraz po przeprowadzeniu się do Kretyngi urządzali dla swoich dzieci choinkę. Później, gdy dzieci już podrosły, zrezygnowali z tego zwyczaju, ku niezadowoleniu tych najmłodszych. Choinka urządzana była tylko dla dzieci służby. Przeznaczano na ten cel pieniądze, które do dyspozycji dostawały już miesiąc wcześniej młode panny Tyszkiewiczówny. Miały one zrobić listę dzieci,

przewidzieć, co im najbardziej potrzeba i z czego się ucieszą i przygotować prezenty. Choinkę ogromnej wielkości ustawiano w Ogrodzie Zimowym. Przyozdabiana mnóstwem zabawek, świecidełek i lampek, a na końcu owijana od góry do dołu cieniutkimi, złotymi nićmi, tworzącymi mieniącą się sieć, wyglądała imponująco. Dzieci służby czekały na dole ogrodu, aż się je zawoła na rozdanie prezentów.

Wigilia obchodzona była bardzo uroczyście. Na kolację wigilijną, tzw. „kucję" zapraszano oprócz domowników i gości wszystkich, całe towarzystwo z bufetu oraz niektóre rodziny oficjalistów dworskich i księży z pobliskiego klasztoru. Poziom wykształcenia i kultury wśród duchowieństwa był niski, bo bez pozwolenia władz nie wolno było przyjmować kandydatów na duchownych do seminarium, a władze wydawały pozwolenia tylko dla tych, o miernych zdolnościach. Tak więc siedzący przy stole różowy, jowialny, nie za wiele mający do powodzenia ksiądz Proboszcz Terpejko, zaczynał „kucję" od modlitwy i dzielenia się opłatkiem ze wszystkimi obecnymi. Na stole wigilijnym były trzy zupy: migdałowa, barszcz z uszkami i zupa z wina tzw. szodonowa. Potem ryby: szczupak faszerowany, karp z rodzynkami, ryby smażone w cieście i słodkie dania: kisiel, kluski z makiem, kompot z suchych owoców.

Młodzi Tyszkiewiczowie sadzani byli pomiędzy księży i oficjalistów dworskich, a hr Józef bacznie im się przyglądał jak

radzą sobie z konwersacją z sąsiadami. Z reguły nie za wiele mieli wspólnych tematów. Wymagania dotyczące zachowania się wobec innych były rygorystycznie przestrzegane. Gdy goście wyjeżdżali z Kretyngi, żeby zdążyc na odpowiedni pociąg, musieli wyjść ok. 7 rano. Nie do pomyślenia było, żeby któryś z chłopców nie wstał pożegnać się, obojętnie czy to była niedziela, czy święta. Jeżeli, któryś z synów zaspał musiał natychmiast napisać list z przeproszeniem do odjeżdżającego gościa i dać ojcu do wysłania.

Po wigilijnej kolacji, zaczynał się uroczysty koncert, z głośnym śpiewaniem kolęd przez wszystkich domowników i pracowników. Dopiero drugiego dnia świąt otrzymywało się prezenty, ale w innej formie, niż spod choinki. Rodzice, dzieci, nauczycielki i goście dostawali po trzy losy, wszystkie wygrywające. Do pierwszej kategorii należały prezenty bardziej kosztowne, artykuły podróżne, przybory do pisania, ozdoby do pokoju, do drugiej trochę mniejsze, a do trzeciej drobiazgi. Po śniadaniu wszyscy wchodzili do salonu, gdzie na dużym stole poustawiane były wszystkie przedmioty biorące udział w loterii fantowej. Po wylosowaniu zaczynała się druga część zabawy, wymienianie się w sposób jak najbardziej korzystny.



Helena Klotylda z Tyszkiewiczów Ostrowska na koniu (z prawej) przed pałacem w Korczewie, fotograf nieznany, © Kretinga Museum

Podczas świąt oprócz rodziny, która przyjeżdżała z daleka, Kretyngę odwiedzali też sąsiedzi. Najczęstszymi gośćmi byli księstwo Ogińscy z Płungian. Najpierw zajeżdżały sanie, albo kareta zaprzężona w czwórkę koni, ze strzelcem na koźle obwieszczającym, że książę pan jedzie. Po czym wysiadał książę Michał, mały, czarny, z długim, podkręconym wąsem, wyglądem przypominającym Włocha, szybki, ruchliwy, jakby się gdzieś spieszył. Potem w bramie ukazywał się następny podobny

ekwipaż, którym w odwiedziny przybywała księżna pani z domu Skórzewska. Smutne pędziła życie w ogromnym pałacu w Płungianach, sama, bez dzieci, odwiedziny w sąsiedztwie zwykle więc celebrowała. U Ogińskich tylko raz do roku odbywały się wielkie zjazdy, na św. Michała. Wtedy wszystkie orkiestry (a każdy z braci miał swoją) miały pole do popisu. Balowano cały tydzień. Ogromny, z przepychem urządzony pałac i jeszcze większy park zapełniał się gośćmi, ruchem i gwarem. Co jednak te orkiestry robiły cały rok, tylko Bóg raczy wiedzieć. Legendy krążyły po okolicy o starej księżnej Ogińskiej, z domu Kalinowskiej. Podobno była niegdyś nałożnicą cara i stąd jej wygórowane mniemanie o sobie. Przed ślubem syna Michała miała swój własny, wygodny apartament w Płungianach. Kiedyś przyjechała odwiedzić młodą parę po ślubie, dowiedziała się od służby, że podczas jej nieobecności ktoś nocował w jej apartamencie i tak się zdenerwowała, że kazała wszystkie meble oraz to co się dało, zerwać ze ścian wynieść na dziedziniec i publicznie spalić, po czym nigdy już do syna nie przyjechała.

Goście typu księżna i książę Ogińscy wprowadzali bardzo ceremonialną atmosferę. Myślano tylko o tym co wypada, a co nie, żeby przypadkiem kogoś nie urazić. Dzieci nie zawsze jednak stosowały się do etykiety. Raz podczas takich bożonarodzeniowych odwiedzin młodzież wymyśliła zabawę. Czerpiąc wodę z malowniczo położonych szemrzących strumyków na dole Zimowego Ogrodu zaczęła oblewać

sikawkami gości siedzących na galeriach i sztywno prowadzących dysputę, jak to w dobrych towarzystwach bywa. O dziwo, goście żądni odwetu chwycili za dzbanki i lali z góry na chybił trafił. Mimo ewidentnych szkód i konieczności zmiany garderoby, towarzystwo się rozruszało i wesoło już było do wieczora.

W okresie świąt nie lada rozrywką były zabawy teatralne, mające typowy charakter salonowy. Układano szarady, wystawiano muzyczne na ogół jednoaktówki, przedstawiano żywe obrazy, z całym pietyzmem do ról się przygotowując. W amatorskie przedstawienia zaangażowani byli wszyscy, gospodarze, goście i służba. Bale kostiumowe też były pożądane, jako jedna z rozrywek. Kiedyś, ku zdumieniu wszystkich, wbiegł, a raczej wskoczył wielkimi susami, gość z sąsiedztwa Stanisław Gawroński, przebrany za kota, z wielkim czarnym ogonem i długimi wąsami. Podobno służący obszywał go całą noc skórkami króliczymi, aż zaszył go całkowicie zostawiając tylko otwór na oczy.

Nowy Rok obchodzono tradycyjnie. Gdy wybiła 12.00, wszyscy szli do kościoła na modlitwę, potem kierowali się do gabinetu ojca, gdzie czekały już poustawiane kieliszki z szampanem i wielkie torty z wypisaną nową datą.



Rodzina Tyszkiewiczów, Kretynga, fot. Benedykt Henryk Tyszkiewicz, II poł. XIX w., © Kretinga Museum

Na Wielkanoc mniej gości przyjeżdżało z daleka. Stół wielkanocny szykowano ogromny. Wszyscy oficjaliści dworscy i inteligencja z miasteczka przychodziła składać życzenia, zapraszani więc byli do stołu. Licznie do kretyngowskiego domu przybywali urzędnicy rosyjscy oraz wojskowi z popem na czele. Wprawdzie niechętnie ich się widziało, bo taki widok raził uczucia patriotyczne, ale wrodzona polska gościnność nakazywała, by ich też zaprosić na świąteczny poczęstunek. Hr Zofia nie mówiła po rosyjsku, więc uprzejmie się uśmiechała, kiwała głową i dawała znaki domownikom, by gościom napełniali

talerze. Dopiero, gdy wszyscy  byli obsłużeni, wolno było gospodarzom i młodzieży nałożyć sobie. „Święcone” trwało dwa tygodnie. Przez pierwsza dwa dni świąt nie podawano na gorąco rosołu, potem można już było jeść wszystko. Szynki, pieczeń cielęca, głowizna, młode prosiaki, drób, ryby w galarecie, rosyjskie paschy, wspaniałe do tego sosy w wielkim wyborze. Największą atrakcją były jednak ciasta. Olbrzymi „baumkuchen” miał metr wysokości. Do tego dwanaście ogromnych mazurków, pomarańczowy, kawowy, czekoladowy, daktylowy, migdałowy, bakaliowy, królewski itd. Ponieważ kucharze w Kretyndze głównie pochodzili z kresów, więc wyspecjalizowani byli w świątecznych babkach. Na stole musiało być co najmniej dziesięć gatunków: chlebowa, petynetowa, kawowa, szafranowa… Kucharze coraz to donosili świeże potrawy, uzupełniali znikające. Przez pierwszych kilka dni jedzenie może i było atrakcją, bo takiej obfitości różnych specjałów na codzień nie jadano, ale po dwóch tygodniach to i najbardziej wykwintna potrawa, podana w nadmiarze mogła się przejeść.

Po świętach w maju odprawiane zawsze było Nabożeństwo Majowe. Ustawiano wtedy koło groty Zimowego Ogrodu, figurę naturalnej wielkości Matki Boskiej z Lourdes. Figura przewieziona była potajemnie przez granicę, ubrana w duży kapelusz i pelerynę. Ołtarz ubierany wiosennymi kwiatami, najpierw anemony, potem czeremchy, konwalie i bzy. Wieczorem wszyscy domownicy, przy oświetlonym, pachnącym ołtarzu

śpiewali „Zdrowaś Maryja” i „Serdeczna Matko”.



Zofia z Horwattów Tyszkiewiczowa, fot. G. Felici, pocz. XX w., © Kretinga Museum

Dzieci wychowywane były w dość dużej swobodzie, nie zakazywano im różnych inicjatyw, a wręcz doradzano i pomagano. Dziewczynki wpadły kiedyś na pomysł, żeby zaopiekować się sierotami z Kretyngi. Każda z trzech sióstr wzięła pod opiekę jedno dziecko. Ponieważ koło Klasztoru Bernardynów mieszkało mnóstwo tzw. „dewotek”, które nic

innego nie miały do roboty jak chodzić na codzienne roraty i odprawiać godzinki. Może więc na coś się jeszcze przydadzą. Za odpowiednią opłatą umieszczono u tych bogobojnych kobiet sieroty. Panny Tyszkiewiczówny kupiły w miasteczku tkaniny i dały pałacowej krawcowej, żeby ta uszyła odpowiednie ubrania. Lekcji same udzielały. Oczywiście wszystkie koszta ponosiły ze swojego kieszonkowego. Hr Zofia, gdy się o tym dowiedziała bardzo była zadowolona. Mniej za to jej się spodobał następny pomysł, a mianowicie loteria fantowa., która miała zasilić kasę „fundacji dobroczynnej". Przez cały rok zbierano fanty, od kogo się dało. Latem w Połądze miała być urządzona loteria dla gości, z biletami po dwa ruble, każdym wygrywającym. Kiedy matka dowiedziała się sie o tym przedsięwzięciu, postawiła ostre veto. *Nie wypada posługując się swoim nazwiskiem korzystać z uprzejmości letników* – powiedziała i sama wykupiła wszystkie fanty.

Inną inicjatywą i to przeprowadzoną przy dużej pomocy rodziców, było utworzenie w Kretyndze szpitalika. Przeznaczono na ten cel Starą Szwajcarkę w ogrodzie, ustawiono łóżka, wynajęto osobę do pilnowania, a lekarz domowy, będący przecież na etacie w pałacu i tak nie był przez cały dzień zajęty, żeby nie mógł doglądać chorych. Dziewczynki kontrolowały wydatki i odwiedzały tych, których nie stać było na leczenie poza Kretyngą.

No, ale już chyba największym przedsięwzięciem, mającym zasilić kasę dobroczynną, była budowa domu w Połądze, z przeznaczeniem na wynajem lub sprzedaż. W tej kwestii młodym pannom radą i pomocą służył brat Władzio, który był jednym z pomysłodawców, a poza tym jako esteta już od urodzenia, służył za jedyny autorytet w kwestii urządzenia, doboru mebli czy tkanin. Wyszukano odpowiednie miejsce, koło lasu, niedaleko morza. Plac od rodziców dostali darmo i z wielkim entuzjazmem zaczęli budowę, na kredyt oczywiście. Willa miała mieć sześć pokoi, kuchnię, piwnicę oraz balkon. Na początku wydawało się, że powstaje domek dla lalek, a nie dla ludzi, ale po skończeniu prac wyszedł całkiem ładny. Władzio oczywiście z wielkim gustem i w dobrym stylu dom urządził, a pan Hejduk zadbał, by na piaszczystej ziemi, wokół willi coś wyrosło. Znalazła się też lokatorka, baronowa Ungernstenborg z córką i synem, która najpierw dom wynajęła, a potem kupiła za pokaźną sumę. Zaciągnięty kredyt był więc szybko spłacony, a do zysku dołożył się Władzio z podobną kwotą i pieniądze te przeznaczono na założenie Pogotowia Ratunkowego w Wilnie.

Lecz najbardziej oczekiwanym okresem w roku były wakacje i wyjazdy nad morze na cały sezon do Połągi.

*Dalszy ciąg nastapi – Połaga*

---

**Źródła:**

*Zapiski Zofii z Tyszkiewiczów Potockiej, Biblioteka Narodowa w Warszawie.*

*Materiały archiwalne w Archiwum Miejskim w Wilnie.*

*Pamietnik Heleny z Tyszkiewiczów Ostrowskiej, kopia rękopisu ze zbiorów Hanny i Adama Tyszkiewiczów.*

*Wywiad z rządcą Tyszkiewiczów z Landwarowa (zapis na taśmie magnetofonowej, pochodzący z lat 80. XX w.).*

---

## GALERIA



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndzie, fot. Wrzesław Żurawski



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze, fot. Wrzesław Żurawski



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze, strop, fot. Wrzesław Żurawski



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze, obecnie muzeum, fot. Wrzesław Żurawski



Kretynga, oranżeria, fot. Wrzesław Żurawski



Kretynga, wnętrze pałacu, fot. Wrzesław Żurawski



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze, obecnie muzeum, fot. Wrzesław Żurawski

*Zdjęcia pałacu Tyszkiewiczów w Kretyndze autorstwa Wrzesława Żurawskiego zostały wykonane we wrześniu 2018 roku.*

**Zobacz też:**

**Landwarów**

> Tyszkiewiczowie. Landwarów.

## Kretynga, część 1

> Tyszkiewiczowie. Kretynga 1.